



Prenumerata wynosi w Galicyi i Austrii: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt. Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscach specjalnie zastrzeżonych 28 halerzy.



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIII.

Kraków, 26 sierpnia 1916.

Nr. 35.

Dzień urodzin cesarskich w Krakowie



Biust Cesarza na tle klombu w parku Jordana.

Treść numeru: Komitet dnia Czerwonego Krzyża w Piotrkowie. — Z kadry Legionów w Dęblinie. — Groby na pobojuwiskach galicyjskich. — Odbudowa kolegiaty w Wiślicy. — Z ruchu oświatowego w Królestwie. — Na równinach Wołynia i t. d.

Dzień urodzin cesarskich w Krakowie.

W szeregu obchodów, którymi miasta w granicach monarchii austro-węgierskiej uczciły ósmdziesiątą siódmą rocznicę urodzin cesarza Franciszka Józefa, Kraków nie pozostał w tyle. Przeciwnie, można powiedzieć, że z trzech już rocznic urodzin cesarza, które przypadły w czasie wielkiej wojny światowej, ta trzecia wypadła w Krakowie najwspanialej. Zwłaszcza wojskowość, a w pierwszym rządzie komenda twierdzy i prezydium miasta przyczyniły się do tego, aby dniowi temu nadać najbardziej



Groby na pobojowiskach galicyjskich: Jedna strona pomnika w Szczercu i tablica z wierszem.

uroczysty charakter i aby także ludność mogła jak najszerszy w obchodzie wziąć udział.

W tym kierunku najszcześniejszym pomysłem było urządzenie wielkiego festynu „wojennego“



Dzień „Czerwonego Krzyża” w Piotrzkowie: Komitet pań.

w parku dra Jordana. Na całe popołudnie piękny ten park miejski zmienił się jakby w obóz wojenny, dostępny jednak dla „cywilistów“, gdzie zdobyczne rosyjskie działa i karabiny maszynowe, miotacze granatów, kuchnie polowe, rowy strzeleckie i tak dalej zdradzały wszystkim swe tajemnice. A jednocześnie znalazły się tam restauracje i kawiarnie, bufety i kioski, sprzedające kwiaty i różne wyroby aktualne, nęciły licznych gości. Bez przesady można powiedzieć, że pół Krakowa w tym dniu znalazło się w parku lub około parku, aby posłuchać dźwięków muzyki, przyjrzeć się pięknym dekoracjom ogrodowym, podziwiać wspaniałe ewolucje lotników w holdzie nad pięknym bustem Cesarza, ustawionym na tle klombu w centrum parku, doznać lekkich

wzruszeń i dreszczyków bitewnych od grzechotu karabinów maszynowych. Wieczorem świetne ognie sztuczne i błyski reflektorów nadały parkowi i Błoniom wygląd fantastyczny i malowniczy. Ruch z całego miasta skierował się w tę stronę i dziesiątki tysięcy mieszkańców wywędrowało za miasto, aby wziąć udział w uroczystościowej zabawie.

Gmina miasta Krakowa wzięła udział w urządzeniu uroczystościowego festynu, wydelegowawszy wiceprezydentów miasta: Rollego i Sarego, dalej radcę magistratu Groelego i starszego radcę budownictwa Zawiejskiego, któremu powierzone było artystyczne kierownictwo urządzenia parkowego i który wykonał projekty na bramę tryumfalną, pomnik z bustem Cesarza i olbrzymi kosz kwiatowy.



Kiosk kwiatowy w parku.



Dzień urodzin cesarskich w Krakowie:

Kiosk w formie 42 cm pocisku.



Boczne wejście do koszar.



Zabawa Legionistów — stół z nagrodami.

Do komitetu urządzającego ze strony wojskowości należeli podpułkownik Kugel i kapitan inżynier Kuhn. Nadto ogrodnictwo miejskie wzięło wybitny udział w przyozdobieniu parku i projektowaniu kiosków, podczas gdy wojskowość wzięła na siebie wykonanie techniczne, w którym brali udział inżynierowie porucznicy Dubieński i Pelczarski. Festyn udał się pod każdym względem i był godnym a popularnym uczczeniem rocznicy urodzin cesarskich w Krakowie.

Komitet dnia „Czerwonego Krzyża“ w Piotrkowie.

Nawiązując do artykułu, zamieszczonego w numerze 32 „Nowości illustrowanych“, w którym zilustrowaliśmy przebieg Dnia „Czerwonego Krzyża“ w Piotrkowie, podajemy obecnie fotografię, przedstawiającą grono pań Komitetu. Dowodem wielkiej żywotności galicyjskiego „Czerwonego Krzyża“, jak i ruchliwości Komitetu, jest finansowy rezultat zbiórki w tym dniu i festynu, który wyraził się



Z kadry Legionistów

Cwiczenie rekrutów Legionowych.

w sumie przeszło piętnaście tysięcy koron. Dzień „Czerwonego Krzyża“ w Piotrkowie zbiegł się wówczas z dniem otwarcia wspaniałe urządzonego

szpitala „Czerwonego Krzyża“ dla Legionistów. — Intelligencja Piotrkowa wzięła w tej humanitarnej pracy gorliwy udział.

Z kadry Legionistów

Niedawna twierdza rosyjska — obecnie znowu została polskim w którym znalazła się siedziba kadry Legionistów polskich. Pomiędzy fortami dawnej twierdzy usadzili się teraz koszary i obóz Legionistów, zacieraających fizyonomię rosyjską tej placówki. Mieści ona obecnie gniazdo oddziałów legionowych, w którym się one organizują, uzupełniają i do boju sposobą z wojskami carskimi. Wre tam też i kipi obozowe życie żołnierskie, surowe, w karby dyscypliny ujęte, ale nie pozbawione też momentów wesółych i bujnej zabawy.

Siedziba kadry Legionistów mieści się, jak już zaznaczyliśmy, przy dworcu północnym. Idący od rampy dworca gościniec, wysadzony wierzby, dzieli obóz

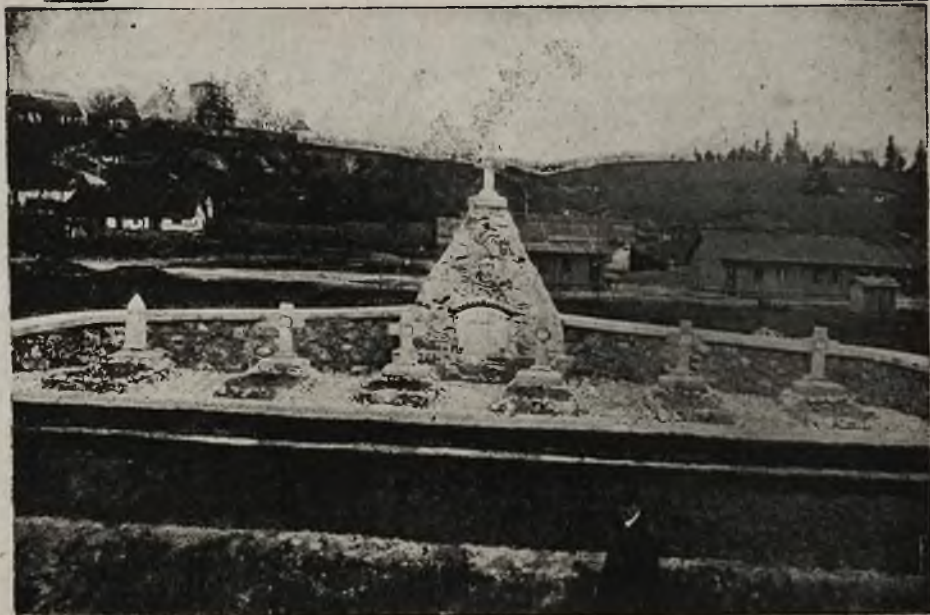


Dzień urodzin cesarskich w Krakowie: Rowy strzeleckie w parku Jordana.



Z kadry Legionów

W zburzonym forcie „Nad cichą wodą”.



Groby na pobojowiskach galicyjskich: Ogólny widok pomnika dla poległych w Szczercu pod Lwowem.

na dwie części: Na lewo plac alarmowy, skwery i planty, a dalej koszary oddziału rekrutów, kompanii uzupełniającej drugiej i trzeciej, za koszarami prowiantura, magazyny centralne, stajnie, warsztaty artylerii. Na prawo wierzbowa cienista aleja prowadzi w ustronie do fortu

Wzdłuż drogi z czerwonych cegieł budynek mieści w sobie ambulatoryum dra Nadolskiego, izbę chorych, bibliotekę, kordegardę i t. p. Połać osobną stanowią koszary oddziału technicznego, menaż i kuchnia oficerska w jednym gmachu, za którym pole i wieś Zajezierze. Połać podobną, wysuniętą z pra-

Groby na pobojowiskach galicyjskich.

Wielokrotnie przez ziemię galicyjską przeszła fala walk i bitew, pełna jest też ta ziemia pobojowisk. Obok ruin i zgliszczy miast widać groby poległych, które stanowią jakby drugie miasta umarłych, wyrosłe świeżo obok zburzonych miast — żywych, którzy je opuścić byli zmuszeni. Lecz ci żywi, którzy do siedzib swoich powrócili, nie zapominają o tych poległych, choć oni byli pośrednio ruiny ich przyczyną. Czczą miejsca ich wiecznego spoczynku pomnikami, jako ofiar bezwinnych tej samej wojny, która ich zrujnowała, zburzyła miasta, zrównała z ziemią wsie.

Jeden z takich pomników grobowych na pobojowiskach powstał koło miasteczka Szczercu pod Lwowem drogą składek dobrowolnych tamtejszych obywateli, a zbudowany jest podług pomysłu architekta Antoniego Stobieckiego, budującego baraki dla bezdomnych w Szczercu, który temu dziełu poświęcił wolne od zajęć urzędowych chwile. Pomnik poświę-



Sanatorium dla Legionistów w Krynioy: Legioniści-rekonwalescenci przy obiedzie.

w sali kazamat nasz teatr legionowy. Za szosą ogród oficerski, za ogrodem uliczka łączy gościnnie z białym budynkiem, gdzie się mieści komenda batalionu i oddział rekrutów, oraz oficerskie mieszkania. — Naprzeciw placu alarmowego plac ćwiczeń.

wej strony, tworzy kamienica komendy obozu, otoczona ogrodem od strony wsi.

Podane przez nas zdjęcia przedstawiają sceny z życia obozowego w kadrze.

S. Gas.



Groby na pobojowiskach galicyjskich: Druga strona pomnika w Szczercu.

cony został poległym dnia 22 czerwca 1915 roku austriackim żołnierzom w Szczercu. Na wmurowanej w pomnik tablicy zamieszczono następujący okolicznościowy wiersz, napisany przez tegoż p. Stobieckiego.

Poległym w Szczercu dnia 22 czerwca 1915.

W walce o wolność przeszedłsz kraj cały,
Na ły, cierpienia swych braci niepomi,
Polegli mężnie tu na polu chwały...
I spoczywają jakoby bezdomni.
Zdała od ojca i matki w żalobie,
W pobliżu schronisk tułaczy bezdomnych,
Nad rzeką Szczercą, tu we wspólnym grobie,
Bohaterowie czynów wiekopomych.

Myśl i intencja zacna tego wiersza starczą tu za górny lot natchnienia i wyszukaną formę. — Pomnik sam stanowi piękną ozdobę okolicy pod Szczercem.



Sanatorium dla Legionistów w Krynioy: Legioniści-rekonwalescenci przed sanatorium.

JÓZEF LASOŃ.

Tajemnice starego dworu.

(Opowieść z walk Legionu na Wołyniu).

1

I.

Puszcze wołyńskie...

Właściwy ich początek sięga okolic Kowla. Ciągną się kilkusetkilometrowym szlakiem na północny wschód, łączą się z bagnami pińskimi, wybiegając daleko za Dniepr. Niemasz nic groźniejszego, a zarazem wspanialszego nad nie. Pozostały tajemniczymi dla człowieka, którego stopa nie ośmieliła się wdrzeć w głąb dziko rozrosłego drzewostanu; miejscami gaje młodej olszyny lub białych brzoź rosną tak gęsto, że sprawiają wrażenie ładu zboża; chcąc drogę sobie pośród tej gęstwiny utworzyć, trzeba by iść z siekierą w dłoń, krok za krokiem, wycinając drzewko za drzewem, kładąc młody las, jak łąkę zboża sierpem. A i tak po części daremna byłaby ta praca. Nagle kończy się przed stopami śmiałego podróżnika las, a zaczyna się obrzydliwie trzęsawisko; nagle, nawet wśród gęstego gaju, człowiek czuje usuwający mu się z pod nóg rozmiękły grunt, czuje otchłań jakąś, która go żywcem pochłonie, lub bagniste kałuże, do pasa sięgające, zagradzają mu dalszą drogę; kałuża taka, to otwarty grób. Muliści spód nie utrzyma ciężaru ciała ludzkiego i natychmiast je pochłonie.

Puszcza składa się prócz gęstego, dzikiego lasu z tysiąca rozmaitych polanek o różnej wielkości. Niektóre z nich ciągną się i na kilkadziesiąt kilometrów wzdłuż, przeważnie w stronę Pińska, więcej na północ. Jedne z tych polanek — to piaszczyste wydmy, na których ludzie pozakładali wioski; drugie, to przestrzenie moczarzysk, bagien, jezior o przeczystej wodzie, lub stawów gnijących. I jeśli lasy są pełne niebezpieczeństw dla człowieka, cóż dopiero mówić o przeogromnych moczarach i zielonych łąkach torfowiskach. Zimą, gdy zieleń znika z tych przestrzeni, gdy silny mróz ściśnie lodem torfowisko i moczara taki pokrywa się skorupą lodu, wówczas, zachowując środki ostrożności, można się przez te przestrzenie bezpiecznie przeprawiać.

Latem znów, z wiosną, gdy słońce rozgrzewa promieniami ziemię i lody pod działaniem ciepła topnieją, przyroda bujnie obdarza przestrzenie te wszelakiego rodzaju roślinami. Człowiek widzi przed sobą zieloną toń traw, wabiącą zdala zmęczonego podróżnika do wygodnego wypoczynku na świeżych łąkach. Dopiero, stąpiwszy na brzeg tej zieleni, spostrzeżę się ukryte wśród niej kwiaty; za każdym krokiem gleba staje się coraz bardziej wodnista, coraz miększą, zapadającą się pod stopami. Im dalej od brzegu, tem więcej daje się odczuwać trzęsawisko, uginające się pod ciężarem ciała. Ale korzonki traw, spoiwszy się silnie, tworzą zapórę; jest to rodzaj prześcieradła, rozwieszzonego nad przepaścią; prześcieradło to jednakże jest miejscami zbutwiałe, natrafimy więc na takie miejsce, człowiek zapada się w otchłań. Jeśli obydwie nogi naraz zapadną się, wówczas dla podróżnika niema ratunku, chyba, że zdoła rozkrzyżować ręce i oprzeć się na nich, o ile dookoła niego, wokół dziury, do której się dostał, korzenie traw silnie są ze sobą spojone. Wtedy może myśleć jeszcze o ratunku i wydobyciu się z zdradzieckiego bagna.

Tak samo i w lasach. Tylko, że korzenie drzew, tworząc silniejszy i gęstszy podkład, dają większą możliwość ratunku. Choć i tu czasami, obok drzewa, otwiera się polipowa jama mulista.

Polanki piaszczyste tak samo trafiają się ogromne. Są to, jakby wyspy piasku, naniesionego przez wichry, niewiadomo skąd. Nie rośnie na nich ani źdźbło trawy, miejscami tylko osamotniona sosna lub świerk sterczy pośród piachów, jak palma pośród pustynnej Sahary.

Roślinność lasu, jakkolwiek obfita, niezbyt jest jednak różnorodna. Wrzos, leśny fiołek, poziomki, wogóle wszelakie jagody, jaskier i tym podobne, gdzieindziej znów, prócz piachu, na którym od dziesiątek lat leżą zbutwiałe szyszki i iglice pożółkłe sosen, nie spotkasz żadnej rośliny. Powierzchnię gruntu stanowi tu gruba warstwa, sięgająca do kilku centymetrów, zeszlanych iglic, z roku na rok z drzew opadających.

Krajobraz wskutek tego jest przytłaczająco jednolity — naprzemian bagna, lasy, polanki, torfowiska bez końca. Jeszcze latem, gdy zaroi się od ptactwa i zwierząt, gdy drzewa pokryją się liśćmi,

człowiek rozkoszuje się tu życiem; zimą krajobraz martwieje, nabierając grozy.

Na tych polankach piaszczystych ludzie wybudowali sadyby, powoli powstawały wioski o szerokich traktach drogowych. Chaty drewniane, kryte słomą, obok nich małe skrawki ziemi, po długich latach uprawy przemienione w urodzajne zagony. Zagony ziemniaków, łąk żyta lub jęczmienia — oto wszystko. Były to zresztą tylko zagony, niezbędne do wyżywienia danej rodziny, zamieszkującej chatę. Lasy dostarczały wszystkiego. Jeziora zarybione karmiły wieś. Mieszkańcy przeto mało zajmowali się uprawą roli, natomiast wypasając dużo bydła; zresztą to, co im wokół dawała ziemia i przyroda, wystarczało na niezbędne ich potrzeby. Wymagania ludzkie zresztą są tu niewielkie. Nędzota chat świadczą o tem wymownie.

Wioski w przeważnej części ogromne, rozciągnięte, niektóre kilkukilometrowe. Chaty usadowiły się wzdłuż drogi, jednym końcem przytykając lasów, drugim bagnisk. Były to przeważnie, niby długie ulice, ustawione wzdłuż traktów. Ozdobą wsi takiej był dwór, cerkiew, cmentarz lub krzyż wysoki, w środku drogi wystawiony, z godłami męki, z chustami św. Weroniki, przybitymi do podnóża krzyża. Nie widać było nigdzie katolickiego kościoła, zato sterczały drewniane, malowane cerkwie o błyszczących kopułach. Cmentarz wioski — to las przeróżnej wysokości krzyżów. Im znaczniejsza figura wsi szła na wieczny spoczynek, tem wyższy krzyż stawiano. Dlatego też stare cmentarze unickie na Wołyniu robią wrażenie lasu krzyży, począwszy od kilkucalowych, a skończywszy na kilkunastometrowych. Po drogach również stały wysokie krzyże, z godłami unickimi.

Drogi, prowadzące od wsi do wsi, były jeśli nie piaszczyste, to bagniste. Którędy było najlepiej dojeżdżać lub dochodzić, mieszkańcy obierali to miejsce za drogę. Nie miał kto porobić szos, stałych gościńców, przeto każdej pory droga kołowa i pieszka była uciążliwa.

Były znów wioski, latem zupełnie odcięte od świata, dobrą zimą jedynie można się było tam dostać. Wokół takiej wyspy rozciągały się jeziora, bagniska i torfowiska. Mieszkańcy takich wsi zimą wybierali się do większych miast po zakupy soli, narzędzi gospodarczych i tym podobnych rzeczy, pozatem nie mieli żadnej styczności ze światem. Żyli i wystarczali sami sobie. Niejeden, czy niejedna z takiej osady, poza wsią swoją nie widzieli nic w życiu. Tu się rodzili i umierali*).

Ludność przeważnie ruska, prawosławna, pośród której osiedlali się Polacy. Dwory jednak przeważnie polskie. Zresztą tu, na tej ziemi, odbywała się tragedia Unitów. Ostatnimi jednak czasy przeważała tu ludność prawosławna, uznająca siebie za rdzennie rosyjską.

Taki mniej więcej stan trwał przed wojną. Podczas wojny dużo się tu zmieniło. Z przesunięciem się linii bojowej w te okolice, żołnierz Legionów miał dwa ciężkie zadania: pokonać wroga i opanować przyrodę, bezdenne topieliska, puszcze, gdzie stopa ludzka poprzecznie nie stąpała.

Trzeba się było wdrzeć w królestwo bagien, przeprowadzić drogi, zbudować osady, nie mówiąc już o samych liniach obronnych. Latem milionowe armie komarów i zjadliwych much dręczyły człowieka; lasy obfitowały w jadowite żmije. Tu bliżej linii łączące wioski wyewakuowano. Tam, wśród bagien i lasów, porobiono drogi, niedostępne miejsca udostępniono.

To wszystko uczyniła wojna.

Żołnierz, staczając walki z wrogiem, musiał żyć przez długie miesiące w dzikiej puszczy, narażając każdej chwili życie. Wyrosła tam ogromna ilość mogił, gaje brzoźowych krzyży, pokropiono puszcze te obficie krwią — dlatego są nam drogie. Mają w sobie świętość krzyżowych dróg, mają w sobie legendę: „z krwi i znoju Polska powstanie, by żyć!“

W bagnach tysiące legło ludzi nieznanym. Niejeden ranny, niejeden żywy pochłonięty został, nie mając nawet czasu westchnąć do Boga.

Z dworów, chat i wiosek niektórych nie pozostało nic, prócz gruzów i ruin. Tam, gdzie przeciągnęła się linia bojowa, lasy ścięte granatami, niby łąkę zboża sierpem skoszony, zostały kominy chat, niby zbutwiałe krzyże cmentarzy.

Kiedyś zagoją się blizny lasów, porosną powrotnie gaje, deszcz i śnieg spłucze spalenizny, chłop postawi na gruzach świeże sadyby; ale nie powstaną już ci padli rycerze, nie zaginie też może ich pamięć i przejdzie w pokolenia.

*) Na osady takie natrafiono podczas patroli pod Lisową w 1916 r. Ludzie ci nie mieli pojęcia o tem, że wojna trwa już szereg miesięcy i przeniósł się na ten teren.

II.

Na prawo od stacyi kolejowej Maniewicz biegnęła droga do wsi Maniewicz. Wieś, oddalona od stacyi kolejowej o jakie dziewięć wiorst, stała na piaszczystym wzgórzu, od stacyi skryta gęstym borem. — Stąd, jadąc piaszczystym traktem, dojeżdżało się do Gałuzi, wioski sprawiającej wrażenie miasteczka, którego przedmieściem była Wólka Gałuzińska. — Szosa bita, wychodząca z Gałuzi, ciągnęła się przez moczarzyska, skrawek lasu, a dochodząc do Wólki, kończyła. W Gałuzi, prócz dużej cerkwi, rozsiadły się dwa dwory, obydwaj drewniane; gdy pierwszy z nich był prawie że początkiem wsi od strony Maniewicz, drugi stał u drogi, biegnącej do Wólki. Wieś była rozległą dwukilometrowy wąż chat składający się na nią. Ziemi uprawnej mimo to nie dojrzałeś; zaniedbane sady, małe grządki warzywne, gdzieindziej pośród piachów łąk owsa, składały się na całość uprawnej roli.

Dwór, przytulony do skraju lasu, należał do jakiejś rodziny Brodzkich, czy Grodzkich, podupadłej szlachty polskiej, z dziada pradziada posiadającej ten skrawek ziemi pośród puszczy wołyńskiej.

Na pół drewniany, na pół murowany, otoczony wiekowymi lipami, sprawiał wrażenie przyjemne. — Wijące się gałęzie winogrodu spłotyły się dokoła oszklonej werandy, a raczej ganku, do którego wiodło kilka stopni drewnianych. Ganek taki właśnie, to ozdoba każdego dworu w Polsce od najdawniejszych czasów. Tak, jak zamek rycerski zbrojny był w baszty i wieżyce, tak dwór każdy zdobny był w ganek. Za dworem rozlegały się pola warzywne, starannie uprawne, grządki kwiatów, krzaczki porzeczek, agrestu, róż.

Szereg pokoi z lewej strony zamieszkiwany był przez rodzinę pana domu, człowieka lat przeszło pięćdziesięciu, o długiej, poważnej, dobrze siwiejącej już brodzie, sumiastych wąsikach, wyłysiałej czaszce, orlim nosie, niebieskiej żrenicy, energicznie patrzącej. — Wysoki, barczysty, robił wrażenie patriarchy szczepu słowiańskiego.

Druga część dworu zajęta częścią na kancelaryę, częścią były tu saloniki bawialne. Zaraz za kancelaryą była salka, przeznaczona na bibliotekę; szereg oszklonych szaf, zza których szyb wyglądały złoczone napisy książek; obok literatury polskiej, najwięcej zajmującej miejsca, piętrzyły się tytuły dzieł francuskich autorów, angielskich, rosyjskich, niemieckich w tłumaczeniach i oryginalnie. Jedna z szaf, przeznaczona na pergamiń i przeróżne akta, w wzorowym porządku posortowane, mieściła w sobie archiwum rodzinne, pamiątki powstań polskich. Dopełniały tu umeblowania długi dębowy stół, z takimże obok krzesłami; w rogu pokoju biurko, zastane przeróżnymi aktami, świadczyło, że szlachcic często długie godziny pracy poświęcał swoim pergaminom i bibliotece. Drugi z pokoi, salka, niby rycerska, obwieszona z dwóch stron na ścianach przeróżnymi zbrojami i bronią. Portrety przodków w czarnych, lśniących ramach, mówiły również o dawnych czasach.

Z pokoiku tego wchodziło się do dość dużego salonu, którego ściany obwieszono obrazami; były tu obok pejzażów epizody polskich bojów, w złoczone ujęte ramy. Szereg rzeźbionych foteli, karła, atlasem wybijane kanapki dookoła stolików, fortepian starej daty, ponad nim zegar olbrzymi, wszystko to raczej rzeczywiście służyło potrzebom, niżli dla ozdoby. Białe, ręcznie haftowane firanki, owoc długiej pracy ręki niewieściej, zastaniały duże okna, podzielone na drobne kratki szybek.

Na lewo zabudowania dworskie, budynki dla służby, stajnie i obory dopełniały bogactwa dworu.

W jesienny wieczór 1915 roku, gdy szarżyna nocy poczęła powoli opadać na ziemię, siedział w bibliotece Grodzki, ukrywając zamyśloną twarz w dłoniach. Od czasu do czasu palce kurczowo zaciskały się na czole wyniosłym, prężącym się, wijącym zmarszczkami pod wpływem myśli, które mu mózg opowiadały.

Burza wojenna przybliżała się w ich stronę, linia bojowa coraz bardziej się zaciskała. Już i po drogach uwijały się dniem i nocą setki żołnierzy rosyjskich, pracujących bezustannie tam i z powrotem. Człowiek w takich razach nigdy nie może powziąć stanowczej decyzji. Jeszcze dla człowieka, którego nic nie wiąże z siedzibą, opuszczenie jej nie stanowi nic szczególnego. Ale, aby zostawiać kolebkę ojców swoich, kilkunastu lat pracy dorobek na zagładę, iść, uciekać z rodziną na niepewny los jutra, trzeba się dobrze z sercem i duszą porachować.

Grodzki wahał się między jednym a drugim. Wreszcie, postanowiwszy coś stanowczego, otworzył drzwi od biblioteki i zapytał łagodnym głosem: — Maniu, Wacek wrócił?

— Jeszcze nie! — odpowiedziała kobieta stojąca w progu, spoglądając z miłością na męża.

Była to pani dworu, mimo czterdziestu kilku lat życia z czarnymi splotami bujnych włosów, dość znacznej tuszy, o rękach rasowych, twarzy cokolwiek pociągłej, przedobrych oczach matki i żony, z grecka skrojonym profilem kształtne nosa. Domowy szlafroczek, ciemnej barwy, obcisłe skrojony, podnosił niezwykle urok tej matrony; była z niej wcielona dobroć anioła, surowość klasztornej cnoty i wierność.

— Aniela i Zosia w pokoju? — spytał po chwili pan Grodzki.

— Udały się już na spoczynek — odpowiedziała kobieta, wchodząc do wnętrza pokoju.

— Widzisz, Maniu! — zaczął Grodzki, nerwowo potrząsając brodą — Rozwazałem długą chwilę, co wypada zrobić. Wprawdzie czas na to jeszcze wielki, abyśmy mogli opuścić dwór i schronić głowy w bezpieczne miejsce, ale tego stanowczo nie możemy robić. Rzucić dwór, oddać go na pastwę w pierwszym rzędzie chłopów ruskich, wrogo nam usposobionych, w drugim soldatów rosyjskich, rabującą na wszystkie strony, znaczyłoby to skazać go na zupełną zagładę. Tu kolebka moich dziadów i zostać trzeba.

— Ah! — westchnęła kobieta — Opatrzność nie opuści nas, mimo, że serce moje przeczuwa coś niedobrego.

— Moja Maniu — rzekł w odpowiedzi Grodzki — wojsk austriackich nie mamy się co obawiać. Zresztą w razie odwrotu armii rosyjskiej, wojska posuwają się będą głównym traktem, przeto nie spodziewam się, aby falanga Rosyan szła temi drogami.

Rozmowę Grodzkich przerwał tętent kopyt końskich.

— Pewnie znów ordynans jaki oznajmi zajęcie dworu na kwaterę.

— Nie, to Wacek! — odezwała się pani Grodzka, nadsłuchując.

Za chwilę wpadł z impetem syn, obłożony dałąką drogą, z dubeltówką przewieszoną przez ramię.

— Ojczy, matko! Wielka nowina!

— Czemużeś, waryacie — zgromił go Grodzki — dubeltówkę brał ze sobą. Nie wiesz o przepisach wojennych? Gdyby cię schwytano z bronią w ręku, zginałbyś.

— Jechałem, ojczy — usprawiedliwił się Wacek — drogą leśną do Maniewicz.

— Dobrze, ale tam patrole rosyjskie.

— Nikogom nie widział! Zresztą dubeltówka łatwa, łatwo ukryć pod bluza.

— Cóż tam w Maniewiczach słyhać? — spytał obcesowo Grodzki.

— Nic! — odparł syn — ostatnie pociągi odjechały. Dużo ludności z pobliskich wiosek. Z naszej wioski pop z rodziną, właściciel dworu, dzierżawca tartaku jechali w stronę dworca. Spotkałem ich na drodze. Dowiedziałem się od rannych i oficerów, że armia rosyjska cofa się od strony Kowla. Właściwie odwrót czuć już na traktach. Przejżdża tysiące furgonów, treny, wozy amunicyjne, artyleria. Słyszałem wyraźne echa wystrzałów armatnich. A wie mama, kto ściga Moskali? — rozentymowany chłopiec dodał na końcu — Niech tato zgodnie!

— Cicho bądź, nie drzej się! — zgromił Grodzki.

— Otóż Legiony! — dorzucił Wacek, podnosząc tonację głosu, która zdołała przywabić kładące się do snu siostrzyczki.

W białych szlafroczech, wysunawszy się z panińskiego pokoju, czarne główki ciekawe wystawiły przez otwarte drzwi biblioteki, aby ciekawość kobiecą zaspokoić.

— Legiony! — powtórzył z naciskiem Wacek, podnosząc rękę, jak kaznodzieja do góry.

Równocześnie siostry poczęły szeptać ze sobą o znaczeniu tego słowa, które z takim naciskiem wypowiedział Wacek. Szmer ten zwrócił uwagę pani Grodzkiej, która zgromiwszy ich za niewłaściwość zachowania, podsłuchiwanie rozmowy rodziców, giestem ręki nakazała udanie się na spoczynek. Ale Grodzki machnął ręką, co miało oznaczać, że mogą pozostać w ich towarzystwie.

Wacek rozpalił się w opowiadaniu. Z ust jeńców, rannych żołnierzy rosyjskich Polaków, dowiedział się o Legionie, śmiało nacierającym na Moskali i ścigającym go w głąb puszczy wołyńskiej.

W miarę tegoż opowiadania rosła otucha w sercach rodziny. Grodzki, przysłuchując się synowi, wspominał o dziadach, życiorysy przed forum rodzinne po raz już może tysięczny wyciągając. — Znikła Grodzkiemu obawa z serca, nastąpiła ufność: że z wolą Boską uda się im znieść najcięższą chwilę, póki się armia rosyjska z tego terenu nie wycofa. Tam za nimi szli bracia, wojsko polskie, które ich

z niewoli rosyjskiej oswobodzi, podczas wojny opieką otoczy.

Zgromadzeni w bibliotece, przyciszoną wiodąc rozmowę, nagle jakby na dany znak spoważniali i przerwali pogawędkę.

— Grzmi! — zauważyła Zośka, szesnastoletni podłotek, istne wcielenie matki.

— Armaty! — szepnął Grodzki, nadsłuchując.

Przeciągłe grzmoty dział, walki toczącej się gdzieś o kilkadziesiąt kilometrów dały się słyszeć przez otwarte okna biblioteki. Cichość nocy i lekki szum lasu przerywały echo detonacyj pocisków.

— No — rzekł Grodzki, marszcząc brwi — za kilka dni rozstrzygnie się nasz los. Daj nam panie przetrzymać tą burzę, która obecnie nadciąga.

Mimo zgrozy przyszłych dni rozmowa tegoż wieczora w salce bibliotecznej ciągnęła się do późnej nocy. I tu dobiegły już poprzednio echa wystąpienia Polski orężnej w postaci Legionu; dlatego wiadomość przywieziona przez Wacka zrobiła we dworze niezwykle wrażenie. Równocześnie wiadomość o zupełnym odwrócie Rosyan dodała obecnym otuchy, że niezadługo prawdopodobnie ujrzą polskie zastępy żołnierskie, zwycięsko wracające w puszcze Wołynia.

III.

Armia rosyjska cofała się w nieładzie, na całym froncie ścigana przez wojska państw centralnych. Dotarłszy do Kowla, w borach wołyńskich cofanie to przeszło w ucieczkę. — Drogi przepelnione były uciekającymi trenami, kolumnami wojsk pobitych. Uciekano, gdyż brak amunicyji nie pozwalał na powstrzymanie zwycięzcy. — Żołnierz zgłodzony, dostawszy się do lasów, ssał korę drzew dla podtrzymania sił. — Ranni, z nieopatrzonemi ranami, chorzy zostawali w lasach, czekając przybycia zwycięzców.

Wioski, spotykane po drogach odwrotu, zostawały objadane; szarańcza, dostawszy się na bujne łąki, czy sady — zostawiała korzenie i gałązki. Jednakże system podpalania wiosek ustał. Były to bowiem, według ogólnych poglądów, prawowierne wioski, które należało oszczędzać. Zresztą szybkość odwrotu nie pozwalała na zabawianie się w Sodomę i Gomorę.

Traktem Gałuzińskiej szosy toczył się zmiażdżony żelazny walec rosyjski, który miał zgnieść państwa centralne, w przyszłości Zachód. Była to jedna z macek polipa, z odciętymi szponami, cofająca się pospiesznie do kadłuba. Cóż wart polip bez macek? Wysunął je groźnie na zachód, skrępował w śmiertelnych uściskach Galicyę, innym odnożem docierając ziem poznańskich.

Teraz wraca, cofa się z pokrwawionemi odnożami. Kadłub wyczerpany, odnoża pocięte. Naród polski odetchnął.

Tuż koło dworu Grodzkich szosą przeciągała część armii. Okrzyki i przekleństwa dowódców mieszały się z głosami rannych, z brzękiem broni, z turkotem wozów, ciężkich jaszczyków i armat. W powietrzu słyhać było coraz silniejsze drgawki wystrzałów, rzęgoty karabinów, grzmoty dział.

Dwór bronił się przed zalewem bezkarnej tłuszczy, lawy ludzkiej, wyrzucanej z krateru wojny; czasami wpadali oficerowie, żądając posiłku, napoju; dawano im, odmówić byłoby niebezpieczne, oficerowie milczeli, nie rozprowadano o zwycięstwach z mieszkańcami dworu. Gorzej było z luźno kroczącymi żołnierzami; maruderzy ci, nie pytając, nie prosząc wpadali do dworu, usiłując zabrać cośkolwiek. — Grodzki, we drzwiach dworu stojąc, rozkazywał służbie dawać posiłek żołnierzom. — W pokojach dworu Wacek z Grodzką wypędzali żołnierstwo, które wpadało przez otwarte okna.

Z wioski przedniejsi przedstawiciele uciekli, częścią z wojskiem, lub ostatnimi pociągami. Pozostało chłopstwo ponure, zamknięte w sobie, patrząc z pođębą na dwór „Lachów“ — bratając się z żołnierstwem. Nie można ich winić, gdyż ciemni, w tym duchu pod nahajką rosyjską wychowani, ale były wypadki, że jedna wieś, mając na czele pijanych kozaków, szła rabować drugą. Dziś ci tych rabowali, nazajutrz przeciwnie.

Pop uciekł, zostawiając opustoszałą cerkiew. — Chłopstwo w miłości dla duszpasterza wtargnęło do plebanii, zabierając pozostałe graty — w przechowanie.

Grodzcy, znając ludność miejscową, chcąc uratować dwór musieli w nim pozostać. Gdy odwrót był już widoczny, chłopstwo służące przy dworze, rzuciło służbę. Pozostali przy dworze tylko najwierniejsi — postanawiając wytrwać do ostatka z dziedzicami.

Wieczór się zbliżał. Sina, mroźna mgła zapadła na ziemię; wicher rozhulał się po lasach, zagłuszając kopyta pędzących jeźdźców. Fala uciekających wojsk przesunęła się poza wieś, potoczyła na wschód. Nastął spokój, jakby po nagłej ulewie, deszcz po uderzeniu pioruna na chwilę przestał padać. Jeszcze pojedyncze krople opadają z chmur. Jeszcze od czasu do czasu przesunął się żołnierz koło dworu, przegalopował spóźniony jeździec konny.

Dwór, pogrążony w ciemnościach, zdawał się spoczywać. Nie błyszcząły okna światłem, nie dochodziły z niego na zewnątrz znaki życia istot ludzkich. Zamknięty, osnuty mgłą, robił wrażenie opustoszałego klasztoru.

Z lasu dał się słyszeć tętent koni. Drogą pośród bagnisk galopowali jacyś jeźdźcy. — Stanęli przed dworem, jeden z nich, zeskokczywszy z konia, odrzuciwszy ramieniem tamującą ruchy rąk kurtkę, kolbą karabinu walić począł w drzwi dworskie.

— Otwierać! — krzyknął groźnie.

Po chwili zabłyśnięcie światelko świecy, a z za drzwi dały się słyszeć jakieś szmery i cicha rozmowa.

— Otwierać do pioruna! — krzyknął powtórnie jeździec, tłukąc w drzwi kolbą karabinu.

— A kto, kto tam? — niepewny zapytał głos.

— Polacy!

— Ach, Polacy!

— Legioniści!

— Okrzyki radosne dworu mieszały się z gromkimi głosami jeźdźców.

— Prosimy do środka! — zapraszał Grodzki.

— Prosimy, prosimy! — piskliwie i dzwicznie zapraszały panny.

Grodzka z lichtarzem w ręku, na którym płonęła świeca, postąpiła ku stopniom ganku, równocześnie odwracając głowę w stronę kuchni, zawołała:

— Tekla! Światło do pokoi!

Kilku jeźdźców zsiadło z koni, zostawiając kolegom luźne konie do przytrzymania. Opierali się namowom Grodzkich, nie chcąc korzystać z zaprosin, ale prawie że przemocą zaciągnięto ich do pokojów.

— Pierwsza służba! — wachmistrz zwrócił się do Grodzkiego.

— Służba, nie druźba! — odparł Grodzki — ale posiłek nie zaszkodzi i nie przeszkodzi.

— Moskałe daleko stąd? — zapytał — Kiedy ostatnie oddziały przeszły?

— Dwie godziny będzie!

— Zatem nad Styry! — mruknął do siebie wachmistrz.

Przy kolacyi rozmowa toczyła się swobodnie; po wypyтaniu się ułanów o ostatnie wypadki, dotyczące ich służby, musieli odpowiadać na szczegóły dotyczące się Legionów, opowiadać o poszczególnych wypadkach, bitwach, które przechodzili.

— My Beliniacy, ułani! — objaśniał jeden z ułanów pięć piękną, podczas gdy wachmistrz szeroką wiodł dyskusję polityczną z Grodzkim.

— Komu w drogę, temu czas! — huknął wkońcu wachmistrz, żegnając się z gospodarzami.

Za nim powstali ułani, wycinając obcasami, dzwoniąc ostrogami przed pannicami, których lica zapłonęły jak róże, lub polne maki.

— Za parę godzin nadciągnie tu nasz sztab! Zależnem to będzie od wywiadów. W każdym razie proszę przygotować kwatery — polecił wachmistrz odchodząc.

— Na koń! — rzucił komendę, rzutem dosięgając rumaka.

Dopiero po odejściu ułanów zawrzało życie we dworze. Grodzki, gładząc wspaniałą brodę kościstymi palcami, doglądał porządków, robionych przez służbę.

Zaręciło się w kuchni od niewiast, co najprzedniejszy drób szedł do garnków, przygotowania były jakby w wigilię uroczystego święta.

Wacek z parobkiem dworskim, grubym, rozrosłym w plecach jak niedźwiedz Kuba, wybiegł przed dwór na czaty. Rudawa, kędzierzawa głowa Kuby nieustannie wpatrywała się w swojego panicza, wpytując go natarczywie:

— Toć to Legiony?

— A tak!

— A niby co to jest?

— Wojsko polskie...

— To tyle, co to pon dziedziec czasami opowiadali!

— A juści! — odparł zniechęcony Wacek.

— To dziaduś panicza tyż był takim!

— W sześćdziesiątym trzecim roku.

— To i pewnikiem panicz będzie?

— Jakżeżby mogło być inaczej!

— To i jo będe! — energicznie Kuba się odezwał.

Odbudowa kolegiaty w Wiślicy.

Stawna w całej Polsce i starożytna kolegiata wiślicka, drogocenna pamiątka narodowa, leży obecnie w gruzach. Skutki działań wojennych pozostały niezatarte ślady na murach tego pięknego kościoła.

Załączone zdjęcie daje tylko przybliżone pojęcie o stanie tego historycznego zabytku, który w roku 1347 był świadkiem wiekopomnego w dziejach naszych „statutu wiślickiego“, mającego całą Polskę zjednoczyć w myśl zasady, aby był „jeden książę, jedno prawo i jedna moneta“, trudnego, a owocnego w następstwa dzieła Kazimierza Wielkiego.



Odbudowa kolegiaty w Wiślicy: Zniszczona pociskami fasada kolegiaty.

Dziś wszyscy ci, którym leżą na sercu pamiątki chwały przeszłości, oczekują uratowania od zagłady tego drogiego pomnika dawnej świetnej kultury Polski. Podjęto już też daleko idące usiłowania, zmierzające do uchronienia pozostałych szczątków od dalszego niszczenia. Utworzył się komitet pod prezesurą pułkownika Zygmunta Grzymały Dobieckiego, w skład którego wchodzi kierownik rządu cywilnego obwodu starosta Stefan Rożeczki, ks. dziekan K. Aksamitowski, ks. Skibiński, proboszcz wiślicki, hr. Józef Michałowski, inż. K. Kruk, oraz dwaj konserwatorzy z ramienia Towarzystwa opieki nad zabytkami w Polsce, p. Szydłowski i inżynier Wyczyński z Krakowa. Komitet zainaugurował energiczną akcję ratunkową i zamierza zwrócić się do społeczeństwa o pomoc. Na razie na pierwsze po-



Na równinach Wołynia: Obrona trenu przez buzarów.

trzeby komenda obwodowa wyasygnowała dwa tysiące koron, oraz p. Marya Dembińska tysiąc koron.

wozdanie zarządu wojskowego obwodu pińczowskiego przynosi wielce interesujące dane, dotyczące stanu oświaty ludowej w Pińczowskim.

Przed wojną było w obwodzie pińczowskim siedm



Z ruchu oświatowego w Królestwie: Dzieci w szkole w Chrobrzu (powiat pińczowski) podczas nauki.

Z ruchu oświatowego w Królestwie.

Władze tymczasowe na terenie okupacji austriackiej w Królestwie pracują bardzo wiele w kierunku oświatowym. Między innymi pierwsze spr-

dziesiąt szkół początkowych. Z tych zaledwie cztery wyszły z kataklizmu dziejowego cało, inne skutkiem długotrwałych operacji wojennych poniosły poważne uszkodzenia. We wszystkich szkołach zaginęły zupełnie wewnętrzne urządzenia i środki naukowe.

KRÓLESTWO POLSKIE.
ZIEMIA KIELECKA.

OBWÓD SZKOLNY: PINCZÓW.
Gmina *Sinów*
Miejscowość: *m. Sinów*

ZAWIADOMIENIE SZKOLNE.

Nowakowska Marya urodzona dnia *14 lutego 1907* r. w *Sinowie* ziemie *Kieleckiej* religii *Wym. katolickiej* uczęszczała w roku szk. 1915-16 do oddziału (klasy) *drugiej* zachowywała się *ehwalebnie* przysłała się do nauki z *pilnością* i poczyniła postępy *bardzo dobre*.
Opuszcza dni szkolnych *12*, z tych usprawiedliwiła *12*.

Na podstawie tych postępów uznaje się - *uzdolnioną* do przejścia do oddziału (klasy) *trzeciej* w *Sinowie*, dnia *30. cz. rwca 1916*.

Nauczyciel religii. *[Signature]* *Nameryczel kel. II^o i Kierownik szkoły.*
[Signature] *[Signature]*
(Pieczęć)



Z ruchu oświatowego w Królestwie: Zawiadomienie szkolne.

Na równinach Wołynia: Kuchnia polowa 20. pułku piechoty.



Na równinach Wołynia: Wydawanie menaży.

Dzięki działalności inspektora szkolnego z ramienia władz austriackich, Ludwika Tarasa, udało się przy pomocy zarządu cywilnego z sekretarzem namiestnictwa Rożeckim na czele i dzięki wydatnej pomocy Komendy obwodowej z podpułkownikiem Dabieckim reaktywować szereg szkół i założyć nowe, tak że już z początkiem września ubiegłego roku, było czynnych siedmdziesiąt pięć, a obecnie liczba ich wzrosła na sto dwanaście.

Nie chcąc zniechęcać ludności i nauczycielstwa nagłymi zmianami, zachowano na razie dawny personal nauczycielski i dawne podręczniki.

Z wyjątkiem tedy kilku osób, nauczycielstwo składa się wyłącznie z sił miejscowych.

Dzięki temu bieg spraw szkolnych przyjął jak najpomyślniejszy obrót, wytwarzając w rezultacie i silne zainteresowanie się sprawami szkolnictwa i poparcie miejscowej ludności.

Taktowny stosunek władz wpływa dodatnio na gorliwe i dokładne spełnianie obowiązków służbowych przez nauczycielstwo.

Władze dbają również o fachowe uzupełnienie wykształcenia sił nauczycielskich, nrządzając w czasie feryi dla nich „kurs naukowy“, na który jako prelegentów wezwano z Krakowa profesora dra Jana Magierę i profesora Władysława Rutkowskiego do literatury polskiej i historii, dra W. Podhoreckiego do stomatologii i higieny, oraz radcę dra Rodzykiewicza dla wiadomości prawnopństwowych. To wszystko posuwa naprzód sprawę oświaty tej okolicy w sposób wybitny.

Zamieszczamy tu zdjęcia jedynych dotąd na terenie okupacyjnym, oryginalnych w pomyśle polskich świadectw szkolnych o charakterze legitymacyi co do wielkości, które stanowiąc będą na pewne doku-

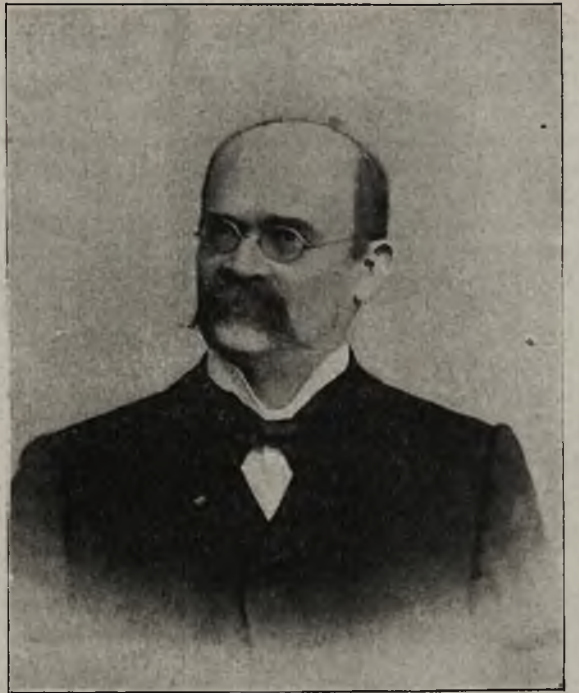
ment historyczny, oraz ciekawy typ ławki „wojennej“, oba pomysłu inspektora Tarasa.



Na równinach Wołynia: Podwieczorek 20 pułku piechoty w okopach

Z żałobnej karty Legionów.

Podczas krwawych zmagañ się polskich Legionów z Rosyanami w dniach 4, 5 i 6 lipca bieżącego



Zgon wybitnego pedagoga: S. p. Tomasz Soltysik, dyrektor trzeciego gimnazjum w Krakowie.

roku na Wołyniu, Legiony oczywiście poniosły poważne straty; w liczbie ich znalazł się i ś. p. Izdebski. O walkach tych i stratach w liście do rodziny ś. p. Stanisława Izdebskiego pisze Komenda piątego pułku: „W dniu tym (4 lipca) los był szczególnie dla nas okrutny, zabierając coraz to nowe ofiary. A jedną z boleśniejszych była śmierć ś. p. Stanisława, który przez nas wszystkich dla swych zalet był bardzo lubiany.“

Rzeczywiście można było bardzo lubić i kochać tego dzielnego młodzieńca, prawdziwego syna Polski, wzorowego polskiego żołnierza, pełnego ideowości. S. p. Izdebski jeszcze przed wojną, studiując prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim, oddawał się całą duszą ówczesnym organizacjom polskich przyszłych żołnierzy, grupujących się wówczas w „Związkach“ i „Drużynach strzeleckich“. Z chwilą wybuchu wojny wstąpił do kompanii kadrowej i od tego czasu brał udział we wszystkich potyczkach i bitwach pierwszej brygady Legionów polskich. Dnia 4 lipca bieżącego roku w zacieklej bitwach pod „Laskiem polskim“ padł w walce od granatu rosyjskiego. Cześć dzielnemu żołnierzowi i dobremu synowi ojczyzny.

Na równinach Wołynia.

Na równinach Wołynia nie ustają krwawe zapasy. Ofenzywa rosyjska, idąca z początku z wielkim rozmachem, po zyskaniu nieznacznego terenu została zatrzymana. Nad linią Stochodu, rzeki po wielokroć krwawej, odpierają rosyjskie szturmowe wojska austro-węgierskie, pułki niemieckie i polskie Legiony.



Z żałobnej karty Legionów: S. p. Stanisław Izdebski.



Na równinach Wołynia: Batalion Legionów odpoczywa w marszu.



Oddział rowerzystów w pogotowiu



Rower na wojnie:

Ambulans polowy z rowerów.

Wszystkie współdziałają zgodnie i współzawodniczą zarazem w męstwie i dzielności. Przedewszystkiem jednak odznaczyli się Legioniści, jak to zaznaczyły urzędowe komunikaty kierownictw obu armij, przy kontratakach i osłanianiu odwrotu. To ostatnie

Po dokonaniu odwrotu i zajęciu nowych stanowisk niektóre z tych oddziałów miały chwile odpoczynku. Nim Rosjanie po olbrzymich krwawych stratach, jakie ponieśli, mogli wznowić ofensywę, „spokój” panował na równinach Wołynia. Oddziały, ich uzbrojenie i żołnierze doprowadzały się do porządku, a przy tej sposobności zarówno, jak w porządnym marszu odwrotowym, znany humor beztrudny i niefrasobliwość polskiego żołnierza odzyskały swe prawa. Lecz obecnie spokój ten względny już minął. Na równinach Wołynia znowu wrota w obronie zagrożonych granic, przy której wojska sprzymierzone dają nowe dowody sprawności bojowej, a nieprzyjaciele ponoszą znowu straty ogromne.

S. p. Tomasz Sołtysik urodził się w roku 1847 w Rymanowie, studia gimnazjalne odbył w Przemysłu, wydział filozoficzny ukończył na uniwersytecie lwowskim. Zmarł w dniu 12 bieżącego miesiąca w Maryenbadzie, dokąd udał się na kurację. Poch-



Na równinach Wołynia: Muzyka u „trzynastaków” w okopach

było najważniejszym zadaniem, gdyż cofnięcie się w porządku jest połową zwycięstwa, a tam właśnie armie sprzymierzone dokonały odwrotu w porządku wzorowym. Współzawodniczyły z Legionami w czynach bojowych polskie pułki z zachodniej Galicji, huzarzy węgierscy i tak dalej.

Zgon wybitnego pedagoga.

Śmierć podczas wojny nie tylko na polu bitwy odbywa swoje żniwo. Niezależnie od zgonów obrońców państwa i kraju, umierają w ostatnich czasach liczni także ci, którzy ojczyźnie służą pracą pokojową.

Do takich zgonów, które dotkliwie odczuje społeczeństwo nasze, należy śmierć wybitnego pedagoga Tomasza Sołtysika, dyrektora gimnazjum trzeciego w Krakowie, członka Rady szkolnej krajowej i radcy miasta Krakowa.

Była to jednostka niezwykła, pracownik społeczny wybitny, pedagog równie światły jak zasłużony. Zapisał się on pamiętnie swoją działalnością zarówno jako kierownik gimnazjum, z początku podgórskiego, później trzeciego w Krakowie, jakoteż jako członek Rady szkolnej krajowej i członek Koła Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych we Lwowie z początku swej działalności. Na wszystkich tych polach ś. p. Sołtysik umiał zaznaczyć swoją indywidualność w sposób wybitny, samą siłą i świeżością swego umysłu, oraz zamiłowaniem przedmiotu. Był on pedagogiem z powołania i zadania nauczania i wychowania zajmował go głęboko i szczerze. Dla młodzieży uczącej się był prawdziwym opiekunem; wśród kolegów zyskiwały mu poważanie jego umiejętności nauczania i głębokość poglądów; w Radzie szkolnej krajowej reprezentował on pierwiastek obywatelskiego i umiłowania rzeczy ojczystych nacechowanego traktowania spraw oświaty narodowej.



Na południowym froncie Niebezpieczne przejście przez wąwóz w Tyrolu.

wanie zwłok, przywiezionych z obczyzny, na cmentarzu w Krakowie, odbyło się dnia 17 bieżącego miesiąca przy licznych udziałach wybitnych przedstawicieli społeczeństwa. Krakowskie Koło Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, którego był członkiem



Kuchnia oddziału karabinów maszynowych



Na równinach Wołynia:

Odpoczynek na pozycji.



Na południowym froncie: Dostawa prowiantu na jucznych zwierzętach do pozycji.

honorowym postanowiło uczcić jego pamięć, między innymi, utworzeniem stypendyumu Jego imienia, oraz wydaniem Jego pism i prac pedagogiczno-dydaktycznych.

Na południowym froncie.

Jak było do przewidzenia, radość włoska i „powodzenia” po wzięciu Gorycy trwała niedługo. Na tem skończyły się ich sukcesy. Przeszedłszy Soczę i wzięwszy Gorycę, Włosi musieli się zatrzymać tuż poza niemi, przed drugą linią obronną austriacką na wzgórzach na lewym brzegu Soczy, z których kilka, na przykład Monte Gabriele, dominuje nawet nad zdobytymi przez Włochów wzgórzami — Monte Sabotino, Monte San Michele — na prawym brzegu. Tak samo marzenia i przechwałki włoskie o „otwartej drodze” do Wiednia i Tryestu okazały się tylko — przechwałkami i marzeniami. Drogę do Tryestu zamyka potężna, nawet nie szturmowana jeszcze nowa linia obronna austriacka, a o drodze do Wiednia



Na południowym froncie: Zdobyta armata włoska

przez Alpy karyntyjskie mogą mówić tylko nieznaną geografii, których widocznie wśród Włochów jest wielu. Czem jest droga przez takie góry i walka w nich, o tem łatwo się mogli Włosi już przekonać dotąd, choćby przy austriackiej ofensywie w Tyrolu, przy której włoskie kierownictwo armii zaopatrzyło — niedobrowolnie zresztą — wojska austriackie w kilkadziesiąt bardzo dobrych dział.

Walka w tych górach toczy się i teraz nieustannie. Austriacki bowiem front w Tyrolu i Karyntyi stoi nienaruszony, jak był na początku wojny, a nawet wojska austriackie są tam w ofensywie; Wielki Pal, Mały Pal i tyle innych pokrytych zarówno śniegiem odwiecznym jak oblanych krwią szczytów alpejskich znowu są widownią krwawych zapasów. Odznaczyły się w nich niemało i pułki z Galicji, które części tamtego frontu trzymały całymi miesiącami wobec wściekłych ataków Włochów,

pod huraganowym ogniem włoskiej artylerji. Wielu Polaków zostało też na zawsze pod błękitnym niebem tego wejścia do Włoch, wielu zaś, powróciwszy stamtąd cało, wspomina wesoło interesujące chwile, przeżyte na przełęczach i w wąwozach górskich. Zapomnieli łatwo o trudnościach i niewygodach życia na takich stanowiskach, gdzie wszystko — amunicję, prowianty i wodę nawet — można dowieźć tylko przez kilka godzin nocnych, po stromych ścieżkach, które nie przejadą wozy, przejadą zaledwie juczne zwierzęta — więc niczego nie może być zbyt obficie. Spełnili swą służbę — na południowym froncie tak samo, jak na wszystkich frontach, które widziały polskich żołnierzy podczas tej światowej wojny.

Rower na wojnie.

Wojna nowoczesna powołała wszelkie przyrządy i wszelkie rodzaje techniki do swojej służby. Nawet tak wybitnie pokojowy przyrząd komunikacyjny, jak rower, we współczesnej wojnie odgrywa nawet wcale poważną rolę. Oddziały cyklistów pełnią różnego rodzaju funkcje: jeżdżą na wywiady zamiast kawaleryi, roznoszą rozkazy, jak dawniej konni ordynansi, puszczają się w pogoń za szybko cofającym się nieprzyjacielem, aby możliwie dopełnić pogromu, wreszcie oddają poważne usługi w służbie sanitarnej.



Na południowym froncie: Na pozycji Wielki Pal w Karyntyi.



Z księgi męstw Legionów: Dekorowanie Legionistów-inwalidów w Krakowie

GEORGES MEIRS.

Tajemnica indyjskiego pierścienia.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

3

Wiliam Tharps wyciągnął z kieszeni papierosa i zapalał go powoli, zastanawiając się nad czymś.

— Panie Tharps! — zawołał zniecierpliwiony profesor — Trzeba szukać złodzieja! Ja muszę dziś jeszcze odnaleźć moje papiery i walizę.

— Znajdą się — odparł flegmatycznie detektyw. — Myślę właśnie nad tem, jak mógł wejść przez okno. Żadnych śladów tu nie widzę, a drzwi były na klucz zamknięte. Hm, hm! To ciekawe! Innego wyjścia tu niema?

— Nie!

— Jest komin! — oświadczył pan Wilson.

Tharps uśmiechnął się.

— Nie będziemy tam szukać! — rzekł z pewnością siebie. — Szkoda czasu. Czy pan profesor nie przypomina sobie, czy był sam w chwili, kiedy ten pokój opuszczał? Proszę się dobrze zastanowić, bo rzecz jest ważna.

— Byłem zupełnie sam! — odpowiedział stanowczo profesor.

— Kiedy to było?

— Oh, już dawno. Godziny nie mogę określić. Wtedy, kiedy ci panowie zjechali tutaj na śledztwo i obudzono mnie, donosząc o dokonanej zbrodni.

— Wiadomość ta musiała przykre na panu uczynić wrażenie?

— Oh! Do tej pory nie mogę się opamiętać! — biadał starszek, przesuwając ręką po spoconem czole. — Prawie noc całą spędziłem bezsenne...

— A to dlaczego?

— Kiedy pracuję dużo w dzień, to potem spać nie mogę. Zasnęłam już nad ranem i obudzono mnie gwałtownie, informując o wypadku. Ubrałem się pośpiesznie wylekniom i niespokojny i zaraz chciałem się przekonać, czy papiery moje i dokumenta są w porządku, bo przecież ci zbrodniarze mogli byli wejść także do mnie i ograbić mnie.

— I jakiż był wynik tego sprawdzenia?

— Papiery były jeszcze na swoim miejscu i nicszyłem się bardzo, ujrzawszy je. Pomimo to jednak przez ostrożność, wychodząc z pokoju, zamknąłem drzwi na klucz i klucz schowałem do kieszeni.

Podczas kiedy pan Schoetten opowiadał swoje przygody, Wiliam Tharps wyjął niewielki notatnik i ołówki i zdawało nam się wszystkim, że zapisuje zeznania starszka.

Lecz jakże byłem zdziwiony, kiedy, podszedłszy bliżej do niego, przekonałem się, że przyjaciel mój nie pisze, lecz rysuje!

Na ćwiartce papieru występował coraz wyraźniej karykaturalny profil profesora. Zrozumiałem teraz, dlaczego tak cierpliwie słucha jego wynurzeń.

Cóż mógł znaczyć ten żart Tharpsa? W chwili tak poważnej rysował sobie najspokojniej, zdając się zapominać o właściwym celu naszego zebrania w tym pokoju.

Okoliczność ta jeszcze silniej utwierdziła mnie w przekonaniu, że już jest na tropie zbrodni i kradzieży i dlatego nie okazuje żywszego zainteresowania, słuchając słów pana Schoettena.

Kiedy profesor zamilkł, dodawszy do zeznań swoich kilka gniewnych wykrzykników pod adresem rabusiów — Wiliam Tharps zamknął notatnik, schował do kieszeni i zapytał niespodziewanie:

— Czy pan pali, kochany profesorze?

Proste to pytanie wprowadziło w niemąle zdumienie starszka.

Spojrzał wokoło niespokojnym wzrokiem — zaczerwienił się silnie i odpowiedział w końcu wahającym tonem:

— Tak... tak... palę... pewno że palę... to jest niekiedy... rzadko...

— Papierosy, cygara?

— Cygara... czasem fajkę... Ale dlaczego się pan o to pyta? Czy to pytanie przedstawia dla pana coś ważnego?

— Oh, nie! — odparł niedbale Wiliam Tharps, uśmiechając się z lekką ironią. — Ale przyznać muszę, że z prawdziwą przyjemnością słucham pana mówiącego...

Zart ten przyjęto w milczeniu, a pan Schoetten zdawał się go nierozumieć.

Podchwyciłem mimowoli w międzyczasie wy-

mianę spojrzeń pomiędzy panią Donay a pułkownikiem Ricotte, z których poznałem, że oboje nie byli zadowoleni z dziwnego wystąpienia mojego przyjaciela. Ja sam czułem się trochę zawstydzony za niego.

Aby przerwać nieprzyjemne wrażenie, jakie zaciążyło nagle w pokoju, podjąłem dalszą rozmowę o ostatnim wypadku, wykazując dziwne okoliczności, w których odbyła się kradzież papierów profesora Schoettena.

Wszyscy zgodzili się na jedno przypuszczenie, że złodziej musiał posiadać drugi klucz do mieszkania i cieszyć się zupełną swobodą ruchów w pensyonacie.

Nie śmiałem podjąć myśli, aby raz jeszcze przeprowadzono śledztwo w pokojach służby, ale przekonany byłem, że do tej ostateczności przejść musi. W każdym razie należało o nowym fakcie czemprejdziej uprzedzić policję, gdyż zapewne łączyć się on musiał z wypadkiem zbrodni i pan Ricotte obiecał zająć się tem bezzwłocznie.

Pensjonat wokoło bacnie był strzeżony przez agentów policyjnych, nie było więc obawy, aby złodziej umknąć mógł niepostrzeżenie.

Ajenci mieli ponadto surowo nakazane przez sądziego śledczego nie wpuszczać ani nie wypuszczać nikogo bez poprzedniego wylegitymowania się, gdyby nawet był to ktoś z gości pensjonatu lub domowników.

Zapytani przez Tharpsa, odpowiedzieli, że dotąd żadna istota ludzka wstępu do domu nie miała.

Złodziej więc musiał znajdować się na wewnątrz i szukać go trzeba było pomiędzy lokatorami lub służbą.

Detektyw po krótkim namyśle zdecydował przetrząsnąć raz jeszcze całego zakładu od góry do dołu. Wszyscy obecni towarzyszyli mu w tych poszukiwaniach z pułkownikiem Ricotte na czele. Ale te oględziny, tak samo jak i poprzednie, pozostały bez skutku. Nikogo obcego nie znaleziono w budynku.

— Złodziej i może zbrodniarz w jednej osobie, znajduje się pomiędzy nami — oświadczył poważnie Wiliam Tharps, kiedyśmy powrócili z tej bezowocnej wycieczki.

Wszyscy goście podejrzliwie i niespokojnie spojrzeli po sobie.

— Widzę, że podobne przypuszczenie zdumiewa państwo! — mówił dalej detektyw — Ale jednak ono jedno jest prawdopodobne. Wyłączyć mogę jedynie panią Donay, pułkownika Ricotte, profesora Schoetten, gdyż to on okradzionym został i mojego przyjaciela — gdyż ci tylko w czasie dokonania kradzieży znajdowali się wraz ze mną w gabinecie na dole. Pozatem mieliście wszyscy państwo wolność chodzenia po pensyonacie w tym czasie.

— Więc co zamierza pan uczynić? — zapytała pani Donay z widoczną przykrością.

— Na razie nic jeszcze, aż do przybycia komisarza policji, który już zawezwany został.

Wiadomość ta uczyniła silne wrażenie na obecnych. Zaczęto szeptać i naradzać się. Niektórzy, dotknięci żywo ciężarem nad nimi podejrzeniem, zdali, aby detektyw natychmiast wyjaśnił sprawę i zwolnił ich od tak przykrego zarzutu.

Ale Wiliam Tharps grzecznie i stanowczo tłumaczył, że śledztwo w tym kierunku przechodzi zakres jego działalności i nie chce gości pani Donay narazić na przedwczesne może przykrości. Komisarz jak tylko przybędzie, sam wdroży potrzebną akcję, a do tej pory czekać należy cierpliwie.

Obecni więc, pomimo woli i chęci, musieli się zastosoować do tego orzeczenia.

Zauważyłem, że markiz de Santa Cruz wykazywał największe oburzenie i niezadowolenie. Wykrzykiwał głośno, że to wstyd najwyższy, aby gości zakładu pani Donay stawiać na równi ze służbą, obciążając ich tak hańbiącym zarzutem. Twarz jego sніada drgała gniewem, a spojrzenie złowrogie raz po raz zatrzymywało się na Wiliamie Tharps, który dalej zachowywał spokój i obojętność grzeczną.

Oburzenie jednak i niepokój wzrastał z każdą chwilą. Pani Donay, obawiając się wybuchu jakiego skandalu, uprosiła inspektora Cornet, który nadziedzł właśnie w tej chwili, aby w obecności jej gości zarządził rewizję w pokojach służby. Nadmieniła jednak bezowocność tych zabiegów, wierząc gorąco w prawość i przywiązanie tych ludzi, chciała jednak tym sposobem uspokoić wzburzone umysły swoich lokatorów. Gdyby okazało się, że służba, jak przypuszczała, była niewinna, wówczas goście zechcą w spokoju pozwolić na zarządzenia władzy.

Wiliam Tharps uznał myśl pani Donay za dobrą i natychmiast zebrana służba chętnie zgodziła się na słuszne żądanie swojej pani.

Inspektor Cornet w asyście ajenta udał się do

ich pokoików, mieszczących się w oddalonym skrzydle budynku. Goście również pospieszyli za nimi, ciekawi wyniku poszukiwań.

Wiliam Tharps zaś, który nie chciał brać udziału w tem śledztwie, pozostał w gabinecie na dole.

Chciałem skorzystać z nadarzającej mi się sposobności porozmawiania z nim bez świadków i pozostałem z nim razem.

— No — rzekł do mnie pierwszy — ciekawy jesteś pewnie, co z tego wszystkiego wyniknie — nieprawdaż, Tynhamie?

— Przyznaję ci się, że od odkrycia kradzieży u profesora Schoetten zastanawiam się nad tem bardzo głęboko.

— Ciekawa komplikacja! — rzucił niedbale Tharps.

— I co sądzisz o niej?

— Przedewszystkiem, że złodziej i morderca są jedną i tą samą osobą, o ile morderca wogóle istnieje — dodał z dziwnym jakimś przyciskiem w głosie.

— Cóż ty mówisz? — zawołałem zdziwiony.

— To, co słyszysz, mój kochany. Ale pozwól, że na razie mówić więcej o tem nie będę. Czekałmy cierpliwie. Czas wszystko wyjaśni.

Na tem skończyła się rozmowa moja z Tharps'em. Pomimo usilnych nalegań nie mogłem już nic więcej z niego wydobyć.

Bilet wizytowy.

Pensjonat pani Donay liczył pięć osób, należących do służby domowej. Pomiedzy niemi była kucharka, trzy pokojowe i służący. Ogrodnik i jego żona mieszkali poza obrębem budynku.

Wykluczonym więc było, aby które z nich ukradło się do domu w celu okradzenia profesora Schoetten, choćby dla tej przyczyny, że nie wchodzili tam nigdy. Ogrodnik tylko codziennie przynosił kosz jarzyn i kwiatów do kuchni i do pokojów wstępu nie miał. A zresztą, w jakim celu ci ludzie pokusiliby się o zabranie papierów i rękopisów, nie mających dla nich żadnej wartości.

Pokoje służby mieściły się na drugim piętrze w lewym skrzydle pensjonatu. Okna dwóch z nich wychodziły na front, drugie dwa zaś na ogród. — Natomiast jeden, najmniejszy, znajdował się na samym końcu korytarza, całkiem odsunięty od reszty.

Podjęte śledztwo zakończyło się w tym pokoiku, który był miejscem zamieszkania Julki, pokojowej, jedynej osoby w pensyonacie pani Donay, która pierwsza odkryła zbrodnię i widziała zwłoki zamordowanego pana d'Orwalda.

W tej chwili szmer podniesionych głosów, dochodzących nas z tej części domu, zwrócił naszą uwagę.

— Cóż się tam stać mogło? — zawołał z ciekawionym Wiliam Tharps — Chodźmy tam! Musieli odkryć coś nadzwyczajnego!

Pospieszyliśmy natychmiast do pokoju pokojowej i kiedy otworzyliśmy drzwi, oczom naszym przedstawiał się nieoczekiwany całkiem widok.

Na środku pokoju na podłodze leżała skradziona waliza profesora Schoettena.

Starszek poznał ją natychmiast i podbiegł pochwycić ją skwapliwie, ale inspektor stanął w poprzek jego zamiarom. Chciał pierwwej skonstatować w sposób legalny, skąd ta waliza wziąć się tu mogła.

Na rozkaz inspektora dwóch agentów stanęło przy drzwiach wejściowych, broniąc wstępu ciekawym, cisnącym się z natarczywością. Do nas jednak ten rozkaz stosować się nie mógł, weszliśmy więc i nrzalem siedzącą bezwładnie na stoliku rozplakaną i drżącą ze wzruszenia pokojówkę.

Zakrywając twarz batystową chusteczką, rozpaczliwym głosem wykazywała swoją niewinność i przysięgała, że nie wie, jakim sposobem waliza profesora u niej znaleźć się mogła.

Widok ten przykre na mnie uczynił wrażenie. W głosie dziewczyny brzmiała taka szczerowość i przestrasz, że w jednej chwili byłem gotowy uwierzyć, że nie przyczyniła się niczem do kradzieży walizy.

Tymczasem inspektor, stojąc przy drzwiach, parlamentował z panią Donay i pułkownikiem Ricotte, prosząc ich, aby wpłynęli na spokojne zachowanie się ich gości, których niepokój i ciekawość utrudniała dalsze śledztwo i badanie.

Wiliam Tharps powolnym krokiem zbliżył się do pokojowej i przyglądał się jej z ciekawością. Nie bronila się już, lecz nieczlna na to, co się wokoło niej działo. Ikała cicho, ciągle zakrywając twarz batystową chusteczką.

Tharps po chwili, ku mojemu wielkiemu zdu-

niem, podszeł jeszcze bliżej do niej i łagodnym ruchem ujął ją za rękę.

— Uspokój się, moje dziecko! — rzekł dobrotliwie — Niewinność twoja z pewnością wykazaną zostanie.

— Oh, panie, panie! — załkała silnie Julka — Ja nic nie wiem, nie rozumiem, jak się to stać mogło!

— Wszystko wyjaśnione zostanie! — pocieszał ją Tharps — Uspokój się. Wkrótce zapomnisz o tej przykrej chwili.

Julka uniosła głowę i utkwiała w detektywa zdumione spojrenie. Była tak ładna w tej chwili z tym niepokojem i zdziwieniem w wielkich, jasnych oczach, że mi się jej serdecznie żał zrobiło.

— Dlaczego pan tak do mnie mówi? — zapytała — Przecież pan mnie nie zna i nic jeszcze wiedzieć nie może.

Wiliam Tharps przyłożył ostrzegawczo palec do ust i pochylając się ku niej, wyrzekł zniżonym głosem:

— Może i wiem już. Bądź dobrej myśli, moje dziecko i nie trać odwagi!

Krótką ta scena uszła uwagi tych, co stali przy drzwiach otwartych, inspektor zaś i ajenci nie domyślali się nawet rozmowy Tharpsa z pokojową, gdyż byli do nas zwróceniem plecami.

Ulegając stanowczym prośbom inspektora, goście pani Donay, których przywiodła tu ciekawość, zaczęli się powoli rozchodzić po korytarzach. — Inspektor zaś, rozkazawszy się powiadomić o przybyciu komisarza pozostałemu na korytarzu ajentowi — wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi na klucz.

Wkrótce głosy oddalających się przycichły, dobiegł nas tylko jeszcze gniewny wykrzyk markiza de Santa Cruza:

— A co? Nie mówiłem?! Miałem słuszość, twierdząc od początku, że winnego należy szukać pomiędzy służbą!

— Idyota! — szepnęła Julka pogardliwie, poznaawszy jego głos.

Wiliam Tharps przyjął z uśmiechem ten nie bardzo grzeczny epitet, a młoda dziewczyna, spostrzegłszy to, zaczerwieniła się silnie i odwróciła niechętnie głowę, żeby ukryć swoje zmieszanie.

Ale detektyw spokojnie podszeł do niej z drugiej strony i zapytał żartobliwie:

— Dlaczego ten pan ma być idyotą? Czemże zasłużył na taki komplement?...

— Bo... bo... to nieładnie oskarżać ludzi bez przyczyny — odpowiedziała pokojowa.

Wiliam Tharps uśmiechnął się raz jeszcze, przysunął sobie krzesło i usiadł obok niej.

— Ten pan pewnie starał się o względy pаниenki? — zapytał swobodnie.

— Tak! — odparła Julka, pochylając głowę i znowu ciemny rumieniec pokrył jej twarz pobladłą.

Widząc to zbliżenie detektywa do dziewczyny, inspektor Cornet przybliżył się, silnie brwi marszcząc z niezadowolenia. Nie śmiał uczynić żadnej uwagi, lecz chciał przerwać tę niepotrzebną rozmowę.

— Nieszczęśliwa dziewczyno! — wybuchnął gniewnie — Coś ty uczyniła? Stałaś się współniczką złodziei i zbrodniarzy! Czy wiesz, co ci teraz czeka?

Ale na te słowa Wiliam Tharps powstał nagle i położył rękę na jego ramieniu.

— Kaźcie wyjść tej dziewczynie stąd! — rzekł rozkazująco — Mam z wami do pomówienia, Cornet.

— Pozwolić jej wyjść stąd? — zawołał zdumiony inspektor — Jej?... współniczce?

Detektyw lekceważąco wzruszył ramionami.

— Proszę uczynić tak, jak powiedziałem! — wyrzekł dobitnie — To, co mam wam do powiedzenia, Cornet, jest bardzo ważne, a każda minuta stracona przyczynić się może do utrudnienia sprawy.

Inspektor niespokojnie spojrzał na mówiącego, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Czy zrozumieliście mnie, Cornet! — nalegał Tharps.

— Ależ, panie Tharps... przykro mi bardzo... ale ja nie mogę, naprawdę nie mogę... Taka odpowiedzialność... a gdyby uciekła?

— Nie ucieknie!

— Nie, nie, nie mogę. — bronił się inspektor, coraz więcej zmieszany — Bardzo mi przykro odmówić panu, panie Tharps, ale odpowiedzialność.

Detektyw był wściekły, irytował go ten upór niezwykły. Nie wyrzekłszy słowa, pochwycił inspektora za ramiona, okręcił nim jak wiechciem ze słomy, i postawił go przy oknie otwartym.

Zdziwiony i zaskoczony Cornet odwrócił się, nie rozumiejąc o co chodzi.

— Panie Tharps, doprawdy, może mi pan wytłumaczy, czego pan sobie życzy właściwie.

— Czego sobie życzyć? Mój Cornet, albo jesteś głupi, albo chcesz uchodzić za takiego.

— Panie Tharps, nie ubliżając panu...

Widziałem, że mój przyjaciel traci już cierpliwość. Pochwycił inspektora za rękę i przyciągnął go jeszcze bliżej ku oknu.

— Co to jest? — zapytał, wskazując ręką na skrzydło budynku, wznoszącego się naprzeciw.

— Okno! — odparł inspektor.

— No, przecież zaczynasz coś rozumieć, mój Cornet.

— Tak, to jest okno. — powtórzył inspektor — I zdaje się, że to jest okno od jakiegoś pokoju z pensjonatu.

— Właśnie, właśnie, o to mi chodzi. A wiesz ty, Cornet, kto zajmuje ten pokój, w tej chwili, jak widzisz, oświetlony?

— Nie!

— To źle! Mądry inspektor powinien zawsze wszystko wiedzieć od chwili, w której wchodzi na teren walki.

Wyrzekłszy te słowa, Tharps zwrócił się do pokojowej i zapytał:

— Moja panienko, kto mieszka w tym pokoju naprzeciw.

— Hiszpan! — odparła niedbale, nie odwracając nawet głowy.

— Slicznie! — zawołał detektyw z widocznym zadowoleniem — Ten Hiszpan sąsiaduje z pokojem profesora Schoetten, nieprawdaż?

— Tak!

— Ładne odkrycie, prawda Cornet?

Ale inspektor jeszcze nic nie rozumiał. Czekał dalszego wyjaśnienia, zapytując się w duchu, co za związek istnieje może między skradzioną walizką profesora, a pokojem markiza de Santa Cruza.

Widząc zdumienie, malujące się na jego twarzy, Wiliam Tharps roześmiał się głośno.

— Ależ, panie Tharps — wyjąkał dotknięty inspektor — co to ma znaczyć?

Bez słowa detektyw ujął go za rękę i zmusił do pochylecia się nad walizką, następnie wyjął szkło powiększające, długą chwilę badał podłogę i podał szkło inspektorowi.

— Patrz dobrze, Cornet — zauważył, wskazując mu kilka drobnych rysów, wyłobionych na ciemnym lakierze — Czy nie zdaje ci się, że tę walizkę rzucano z zewnątrz do pokoju i że, śl zgajając się po sadzce, pozostawiła te ślady?

— Rzeczywiście! — zawołał inspektor.

Zdawał się być zdumionym tem nieoczekiwanem odkryciem i teraz dopiero zaczął sobie zdawać sprawę ze słów Tharpsa.

Ja zaś przypomniałem sobie, że markiz de Santa Cruza od chwili wykrycia kradzieży w pokoju profesora, szczególniejszy kładł nacisk na konieczność przeprowadzenia poszukiwań w pokojach służby. Czyżby on to właśnie rzucił podstępnie walizkę do pokoju Julki, chcąc ją tym sposobem oskarżyć i odwrócić od siebie podejrzenia?

Tę myśl zapewne Wiliam Tharps chciał zasugerować inspektorowi, co mu się wkońcu może udało. Znaki, poczynione na podłodze pokoju Julki, szły prosto od okna, a okno to znajdowało się w tak niedalekiej odległości od pokoju Hiszpana, iż łatwo było można przypuścić, że waliza ta drogą się tu dostała.

W pokoiku Julki zaległo teraz dłuższe milczenie. Ciężki mózg inspektora Cornet'a pracował usilnie. Nareszcie błysk oburzenia i gniewu przebiegł po jego twarzy.

— Ah! Bandyta! — wybuchnął nagle — To on! To on niezawodnie! Ten Hiszpan przeklęty! Ze też wcześniej na tę myśl nie wpadłem.

Wiliam Tharps uśmiechnął się drwiąco. Zdaje się, że ciężko myślący inspektor nie byłby nigdy wpadł na tę myśl, gdyby nie współdziałanie jego.

Markiz de Santa Cruza musiał być zręcznym człowiekiem i byłby zachowaniem się swym oddalił od siebie wszelkie podejrzenia, ale teraz, dzięki przytomności umysłu detektywa, odkrytym najzupełniej został.

Wiliam Tharps natychmiast po wejściu do pokoiku pokojowej, dostrzegł okno naprzeciw się znajdujące, zauważył pozycję walizy i rysy na podłodze. Wystarczyło to, aby wyrobił sobie w mgnieniu oka zdanie o sprawcy podwójnego zamachu. Należało przyznać Hiszpanowi, że bardzo zręcznie i pomysłowo postąpił, obierając sobie za ofiarę jedyną osobę, która widziała pana d'Orwalda po dokonaniu na nim zbrodni. Ażebym zaś w tę zbrodnię uwierzyć, trzeba by uznać wiarygodność słów pokojowej. Zniknięcie zwłok obok tego jeszcze większą tajemnicą pokrywało zdarzenie całe, a ostateczne odkrycie skradzionej walizy profesora Schoetten w pokoju młodej dziewczyny wska-

zywało jawne jej współnictwo i podsuwało w podejrzenie opowiadanie jej i zeznania ranne.

Wszystko zatem było jak najlepiej urządzone i przeprowadzone z zimną rozważą i wyrachowaniem. Pan de Santa Cruza nie zapomniał nawet po czynić starania o względy ładnej pokojowej, gdyż i ta okoliczność mogła wpłynąć na powodzenie jego działania.

On to agitował najwięcej pomiędzy gośćmi pensjonatu „Donay“ i podbudzał ich niepokój i oburzenie, kiedy zaczęto mówić o przeprowadzeniu śledztwa pomiędzy nimi wszystkimi, wykazując konieczność wybadania służby. Tym sposobem odwracał od siebie najlepiej podejrzenia i podsuwał urzędnikom właściwą drogę działania.

Jego tryumf głośny, wyrażony jawnie na korytarzu, kiedy już nieszczęśliwa Julka była strzeżona pod zarzutem winy, był jasnym dowodem, że plan jego udał się w zupełności.

Byłem pewny, że wobec dokonanych spostrzeżeń ostatnich, obarczających markiza, Wiliam Tharps zaleci inspektorowi spieszne zbadanie jego mieszkania. Markiz de Santa Cruza nie miał jeszcze sposobności usunąć ze swojego pokoju ważnych dokumentów profesora Schoettena i według wszelkiego prawdopodobieństwa znajdować się one tam musiały.

Po głębszej chwili zastanowienia, inspektor Cornet, któremu rozmyślenia podobne moim musiały dać wynik analogiczny, sam wystąpił wobec Tharpsa z propozycją przeszukania pokoju Hiszpana.

Ale detektyw odrzucił stanowczo ten zamiar.

— Nie trzeba tego robić, mój Cornet — zdemaskowałbyś się tylko przedwcześnie, a zresztą, powiem ci prawdę, ten poczciwy Santa Cruza...

Urwał nagle, jak gdyby lękał się zdradzić myśl jakąś tajemną i uśmiech ironiczny przemknął po jego twarzy.

— Na razie najważniejszą rzeczą jest zmusić do milczenia tę młodą dziewczynę, którą pomimo mojej prośby zatrzymałeś tutaj, Cornet, podczas moich wyjaśnień!

„Wyjaśnienia!“ Słowo to w ustach mojego dowcipnego przyjaciela brzmiało odcieniem dziwnej ironii. Wiedziałem przecież, że zadał pokojowej tylko jedno pytanie, a to pytanie dotyczyło nazwiska lokatora, zajmującego pokój naprzeciw jej pokoju. Co zaś do reszty, to ograniczył się na wskazaniu w milczeniu śladów, pozostałych po walizce na lśniącej posadzce.

Obecność Julki wydawała się teraz inspektorowi bardzo niepotrzebną. — Musiała przecież zauważyć wszystkie mimiczne demonstracje, którym się oddawał wraz z Wiliamem Tharpsem i mocno żałował, że wcześniej nie przychylił się do jego żądania i dziewczyny nie oddalił z pokoju, gdzie odbyły się tak ważne odkrycia.

Rozumiał również, że detektyw, chociaż nie dał tego poznać po sobie, nie uczyni nic, aby przyjść z pomocą w poszukiwaniach dalszych urzędnikom policyjnym. W obecnej chwili sprawa cała tak się jeszcze niejasno przedstawiała, że nic konkretnego o niej nie można było powiedzieć.

Nie wątpił już, że markiz de Santa-Cruza, „ten przeklęty Hiszpan“, jak go nazywał, był sprawcą kradzieży dokumentów profesora, ale to nie dowodziło jeszcze, aby równocześnie był współnikiem morderstwa, którego ofiarą padł pan d'Orwald.

Wykazując mu rolę, jaką odegrał Hiszpan w sprawie walizy, detektyw angielski działał pewnie jedynie w tym celu, aby uniewinnić pokojową i według wszelkiego prawdopodobieństwa na tem tylko nadal poprzestanie.

Dla tej przyczyny niemiłem było dla inspektora wyjawienie działalności markiza przez Julkę.

Wiliam Tharps radził nie zdradzać swoich podejrzeń wobec dziewczyny, ale, aby pójść za tą zręczną wskazówką i doprowadzić rzecz do dobrego rezultatu, trzeba było otrzymać obietnicę milczenia od ładnej pokojowej. Zachodziło teraz pytanie, czy ta zgodzi się na odegranie roli, jaką jej wyznaczono? Musiałaby chwilowo uchodzić za współniczkę markiza de Santa Cruza, ponieważ przykrość badania i aresztowania, kiedy uniewinnić się mogła jednym słowem. Cornet żałował obecnie, że okazał się wobec niej surowym i bezwzględny. Nie miał teraz odwagi wymagać od niej tego zaparcia się dla posłużenia planom policyj. W spojrzeniu, jakim obrzucił Wiliama Tharpsa, malowała się taka bezradność i niepokój, że tenże ulitował się nad nim i zrozumiał jego pragnienie.

Dał znak inspektorowi, aby milczał i zwrócił się do pokojowej, życzliwie uśmiechając się do niej.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Na równinach Wołynia: Opatrywanie rannego psa sanitarnego.



Na południowym froncie: Ufortyfikowany dom w Roveretto.

Sanatorium dla Legionistów w Krynicy.

(Do ilustracji na str. 4).

W uroczej miejscowości kąpielowej i uzdrowisku, Krynicy, wśród wspaniałych lasów i zdrowej atmosfery ulokowała Pelagia hr. Skarbkowa swój zakład sanatoryjny dla Legionistów. Tam znajdują oni po trudach bojowych wypoczynek i szanse powrotu do zdrowia. Zakład jest zorganizowany wzorowo, daje



Z kadry Legionów w Deblinie: Trębacz obozowy w kadrze

swoim pensjonaryuszom wymienite pożywienie i wszechstronną opiekę lekarską. Zakład wzrasta i rozwija się na coraz szerszą skalę. W tych dniach otrzymała hr. Skarbkowa dla zakładu od hr. Lamešana trzydzieści krów dla własnego gospodarstwa mlecznego, oraz tysiąc owiec na przemysł wełniany, ponieważ zaś w Krynicy brak pastwisk, wydzielano je w sąsiednim Tyliczu i tam inwentarz założono.

Zakład ma więc znakomite podstawy ekonomiczno-gospodarskie. To pozwala na racjonalne traktowanie

pensjonaryuszy. Wszystko tam odbywa się z ogromną uwagą na chorych, których otacza się opieką, jakiej napewno nie mieliby nigdy w domu. Żołnierz w zakładzie hr. Skarbkowej, po za tą, ma także opiekę moralną i rozwija się umysłowo. Biblioteka miejscowego proboszcza, ks. Jasiaka, dostarcza inwalidom stosów książek, odpowiednich ich poziomowi umysłowemu.

Ostatnio hr. Skarbkowa zaprowadziła kurs, na którym rekonwalescenci będą rozwijać swe zdolności w kierunku przemysłu, do jakiego się skłaniają. Na cel ten proboszcz miejscowy oddał na plebanii jedną salę, którą przeznaczył zarazem na czytelnię.

A wszystko to prawie powstało staraniem i energią hr. Skarbkowej. Zaraz w pierwszych dniach skupiła ona koło siebie grono kobiet, przywdziała wraz z nimi niebieską szatę „Siostry“ i oddała się cała na usługi polskiego żołnierza. Siostry wszystkie razem pod opieką wybranej przez hrabinę przełożonej, p. Maryi Opieńskiej i najstarszej mateczki, p. z hr. Dzieduszyckich Henzelowej, pełnią od wczesnego rana po poszczególnych willach służbę pielęgniarek z istic chrześcijańską miłością. Wstają wcześnie, idą do swoich zajęć, po których u jednego zasiadają stołu. Rygor wojskowy, wzajemna pomoc i uległość, bezustanna praca, oraz poslušność cechują te ochotniczki w służbie.

Z księgi męstwa Legionów.

Księga męstwa Legionów będzie jedną z największych w tej wojnie, obfitującej zresztą w czyny

bohaterskie. Dość powiedzieć, że przeszło dwa tysiące medali otrzymali za męstwo Legioniści.

Tu przychodzi nam zilustrować jedną z niezliczonych kart tej księgi. Wypełnili ją czynami swymi dwaj Legioniści: Andrzej Koroluk, starszy żołnierz z drugiego pułku i Tadeusz Seruga, kapral z trzeciego pułku Legionów polskich.

Ciężko ranni dostali się oni do niewoli rosyjskiej i dopiero teraz, po wymianie inwalidów między



Na południowym froncie: Modlitwa pod kaplicą przed szturmem.

Rosją a Austro-Węgrami, powrócili do rodzinnej ziemi kalekami, pierwszy bez ręki, drugi bez nogi. Widome znaki ich męstwa — srebrne medale pierwszej klasy — czekały tu na nich, jako wyraz uznania dla ich czynów ze strony komendy.

Na podwórzu koszar przy ulicy Rajskiej w Krakowie odbyła się skromna uroczystość dekorowania odznaczonych bojowników, którego dokonał pułkownik wojsk austriackich Gorecki.



w załotach.



Na równinach Wołynia:

przy uprawie roli.

Kronika tygodniowa.

Nawiązując do wzmianki o zdjęciach kinematograficznych, jakie czynione są obecnie na krakowskim bruku, podaje jakiś Czytelnik „Nowości ilustrowanych“ bardzo trafny pomysł, aby, korzystając ze sposobności i oszczędzając w ten sposób kosztów, sporządzić wspaniały film, przedstawiający utworzenie Wielkiego Krakowa. Trzeboby jednak cofnąć się nieco wstecz, to jest do wyborów przynajmniej obecnej Rady, zdjęcia bowiem bez historycznej kielbasy wyborczej w całej swej okazałości nie byłyby interesujące i tak pouczające, jak na to zasługują. Byłby to prawdziwy dramat, choć nie „detektywiczny“, jakimi zasypują nas obecnie kina, musiałby jednak reżyserowanym być przez kogoś, kto wtajemniczony jest najdokładniej w bieg naszej autonomicznej polityki. Ostatnią seryę stanowiłoby uwiecznienie historycznego posiedzenia Rady, na którym „chwalone panu prezydentowi honorową emeryturę i wyjazd jego do Maryenbadu, skąd przyjaciółm, zwłaszcza grupującym się pod sztandarem „Głosu Narodu“, za mem pośrednictwem przesyła serdeczne pozdrowienia i uściski.

— Oj! Uściskałbym was, gdybym mógł tylko! — tak podobno powiedział w danej chwili, a że mówił z przekonaniem, w to wierzę. Za tyle lat pracy i kłopotów, za łamanie sobie głowy, skąd wziąć pieniędzy i na co je wydać, co gdzie kupić, a co w samą porę sprzedać, by potem nie stracić, marne dwadzieścia dwa tysiące rocznie, a tu i na to jeszcze narzekają. Ale u nas to już tak! Nigdy nikogo i niczem nie zadowolisz. Ze mam rację, na to dam zaraz dowód całkiem czarny na białym. Dowiedziałem się mianowicie, że ekscellencya nie jest także zupełnie zadowolony z tego swojego zaopatrzenia na starość, które wprawdzie uchwalono bardzo marną większością głosów, ale nie jest wykluczonem, że Wydział krajowy uchwały nie zatwierdzi... Ekscellencya jest zdania, że trzeba było ową emeryturę ustanowić w kwocie dwudziestu czterech tysięcy, łatwiejszy byłby wówczas podział na raty miesięczne i kto wie, czy nie postara się jeszcze przed pójściem w dobrze zasłużony stan spoczynku o „honorowy“ dodatek drożyniany, wliczalny do emerytury, w kwocie dwu tysięcy koron rocznie.

Bolesnie także dotknęła serce ojcowskie okoliczność, iż tylu jest marnotrawnych synów, którzy powazyli się głosować *contra* i to takich, co to byłby za nich dał swą głowę. I licz tu na kogo, jak na Zawiszę... Podobno, ale za to nie ręczę, gdy po posiedzeniu przedłożono ekscellencyi listę opornych, tak zwanych *antiemerytalistów*, ledwie tylko na nią rzucił okiem, zawołał z boleścią:

— *Et tu Bases contra me?!*

Swoją drogą z historii założenia Wielkiego Krakowa, o którym powiadają, że Kazimierz Wielki go wymurował, ekscellencya Leo wyasfaltował, a drze z niego skóre, kto może, dałoby się sporządzić wspaniały film, długości co najmniej takiej, jak kielbasa wyborcza, spożywana w czasie każdorazowego odświeżania składu miejskiego areopagu. Wyobrażam sobie, jaką furorę zrobiłby w świecie, a jeśli się nadto zwazy, że miasto ma koncesję na własne kino i mogłoby urządzić przedstawienia w swym zarządzie (a krakowski magistrat słynie z oszczędności...), można być pewnym, że i dochody płynęłyby stąd pokaźne, każdy bowiem widziałby się bardzo chętnie tak przy urnie wyborczej, jak i w lokalu, gdzie gości się przyjaciół politycznych i wpływa na zmianę przekonań należących do innych obozów. Sądzę, że i inne miasta, tak małe, jak i wielkie, starałyby się na wysięgi, by móż ten film wyświetlić u siebie i dowiedzieć się, jak się to robi tak zwana wielkomijska polityka.

Na razie ekscellencya wyjechał do Maryenbadu (gdzie są nawet białe buleczki) i już używa wszelkich przyjemności, jakich dostarcza tamtejsza kuracja, wódnarstwo po nim w pałacu Wielopolskich objął pan Jan Kanty Federowicz, pierwszy wiceprezydent z pensją (skromnie nazwano ją „dotacją“) roczną dziesięć tysięcy koron.

I znów nie może pomieścić mi się w głowie, jak różne osoby pozwalają na to, by im obywatele płacili za pełnienie honorowych urzędów. — Każdy z panów kandydatów, starając się o godność radcy miejskiego, zapewnia, że czyni to tylko z życzliwości dla gminy, dla której chciałby pracować nawet kosztem własnej kieszeni, ale niech tylko pokaza jaką synekurkę, w mig wyciąga się po nią cały tuzin rąk. Owi Kantonowie, dla których *suprema lex* było *salus rei publicae*, nagle przypominają so-

bie, że są tylko ludźmi, że teraz ciężkie czasy, że trzeba pamiętać o sobie.

Ostatecznie zgodziłem się jeszcze na to, aby prezydent miasta pobierał wynagrodzenie (ale znówu — nie takie, jak minister), gdyż właściwie niczem innym zajmować się w tym czasie nie powinien, tylko sprawami miasta, może zdzydowałbym się i na to, by jeden z wiceprezydentów dostawał także coś w gotowiźnie za stałe jego zastępstwo, ale zakładam stanowczy protest, aby płacono wszystkim i to tak wiele. „Co dziś mnie, jutro tobie“, powiada stare przysłowie i następcy będą się też upominać o takie same wynagrodzenia i honorowe emerytury. Chyba, że Wydział krajowy uchwały nie zatwierdzi, bo i to być może.

Jeśli jednak najwyższa władza autonomiczna będzie tego samego zdania, co i Rada miejska krakowska, wzór tego rodzaju korporacji w Europie, ja, na miejscu pana prezydenta się znalazłszy, nie wracałbym już z Maryenbadu do Krakowa, lecz do Bonarki, skąd napisałbym list do mego zastępcy, donoszący, iż ze względu na nadwątlone prace zdrowie z dniem pierwszego najbliższego miesiąca rezygnuję z zajmowanej dotąd posady, osiadam na wsi, gdzie mam zamiar *paterna rura bubus exercere* i tam proszę na każdego pierwszego nadsyłać mi honorową emeryturę czekiem pocztowej Kasy Oszczędności. — Pozatem nie rozstawałbym się z ową listą proskrybowanych, którzy powazyli się głosować *contra* (lu bież kontrę, ale w mizerce, jeśli *nota bene* na nią nie wpadnę!...), obmyślając dla nich srogą zemstę, aby była na przyszłość odstraszającym przykładem.

Czy się jednakowoż tak stanie, czy inaczej, dziś tego powiedzieć nie można. Na razie, to jest dopóki Wydział krajowy się nie oświadczy (nie wiedziałem, że się ma ochotę żenić!... *przyp. zecera*), nie potrzebujemy się obawiać bezkrólewia i wyborów, które dziś, gdy kielbasa taka droga, byłyby nie do przeprowadzenia. *Naj więc bade, jak bawato*, powiedzmy sobie i żyjmy w tem przekonaniu, że tam wysoko nad nami, w pałacu Wielopolskich, czuwa Opatrzność, która zginąć nam nie pozwoli. Na to mamy dowody!... Także czarne na białym!... Dopiero powróciła z przejażdżki po całej monarchii komisya, która badała wszędzie wojenne kuchnie dla ludności i przyszła do przekonania, że u nas w Krakowie można takową założyć od pierwszego września, ale tylko dla lojalnej średniej warstwy.

O ile założenie takiej kuchni bardzo się memu żółdkowi podoba, o tyle znów muszę skrytykować wyślanie komisji, składającej się z trzech osób, co kosztowało sporo pieniędzy. — Gdybym ja był w tym czasie wielkorządcą Krakowa lub choćby jego zastępcą, byłbym owych trzech panów wysłał na koszt miasta do parku Jordana na piątkowy festyn. Były tam, jako jeden z punktów programu, „*Gulaschkanonen*“ i wywiązały się doskonale ze swego zadania. — Jazda tramwajem tam i z powrotem, wstęp do parku i osobno do rowów strzeleckich nie przeniósłoby guldena od osoby, a skutek byłby taki sam. Któryś z radców, o ile ich kiedyś zwolają na posiedzenie, powinien poruszyć tę sprawę, wiadomą bowiem rzeczą, że u nas nieraz wydaje się grosz publiczny tam, gdzie tego nie potrzeba. Ja sam zająłbym się tem, zapomnę jednak, zanim mnie do Rady wybiorą.

Średnia klasa, dla której ma powstać taka właśnie wojenna kuchnia, nie ma się przecież tak źle, jakby może kto myślał, na co mogę również służyć dowodami. I tak jeden z znajomych kupił swej żonie na imieniny pierścionek coś za tysiąc, czy nawet więcej koron, co każe przypuszczać, że pieniądze posiada, drugiego zaś okradli, powróciwszy z ewakuacji, specjaliści od włamań, zabierając na pamiętkę pieniądze i kosztowności razem na około jedenaście tysięcy koron. Inny znów, spostrzegłszy, że zaczyna cierpieć na niedomykalność kamizelki, która ani rusz nie chce usłuchać, iż koniec powinien się zejść z końcem, a nie chcąc, by się zmarnowało kilka jeszcze wcale dobrych ubrań, rozpoczął gwałtowną kurację odtłuszczającą, czego pewnie nie potrzebowałby czynić, gdyby mu się źle wiodło. Mało więc je i pije, kąpie się w sianie i chodzi na spacer i to w te miejsca, gdzie pasą się złośliwe krowy. One go gonią, on ucieka i w ten sposób ma dużo potrzebnego ruchu. Spotkałem niedawno także takiego pana, co to narzekał ciągle, że go wątroba boli, a wiadomo, że dobre i wesole życie, obficie pilznerkiem podlewane, do tego się właśnie przyczynia. Dziś pije wodę karlsbadzką i powiada, że mu to bardzo dobrze robi. Piwa przecież się nie wyrzekł, od ordynującego lekarza wytargował dziennie jedną bombę. Ale tego było mu za mało, zbyt prędko powróciłby bowiem do upragnionego zdrowia. Spotkawszy więc na ulicy znajomego Esku-

lapa, zapytał z niewinną minką, czy też przy karlsbadzkiej kuracji można sobie pozwolić na jedną szklanekę piwa.

— Ale tylko jedną jedyną! — odparł lekarz.

— Zastosuję się...

— I to małą!

— Otóż to się! Skąd ja wezmę małą szklanekę! W domu są same duże... Kupować się nie oplaci, teraz szkło takie drogie!...

— No! To niech już będzie duża!

— Dziękuję!...

Rozmowę mniej więcej taką samą powtórzył z innym jeszcze lekarzem i już miał urzędowe pozwolenie na trzy bomby, od każdego na jedną...

Wszystko to, co dotąd powiedziałem, a raczej napisałem, jest więc dowodem, że właściwie tak źle nam pod najmiłościwszymi rządami ekscellencyi Lea jeszcze nie jest, że więc bardzo narzekać nie powinniśmy, gdy zaś jeszcze otrzymamy wojenne kuchnie i także piwiarnie, gdzie będzie można za niską opłatą lub też całkiem gratis (na koszt miasta) zaspokoić głód i pragnienie, chyba więcej wymagać nie można! Wobec tego i serce rośnie i duch nabiera polotu, na co również nie braknie dowodu. Jeśli się jest swobodnym, jest się też i wesołym i ma się bujniejszą fantazję, a za takiego właśnie człekę uważam pewnego pana, z którym onegdaj prowadziłem rozmowę na temat, czy łódź podwodna „*Deutschland*“ dotynie do ojczyzny, czy nie. Ile na stole było bomb piwa, tyle też było zdań, niektórzy z biesiadników okazywali nawet wielką chęć zrobienia zakładu. Piwo się dziś wypije, a później zapłaci ten, kto przegrał. Ostatecznie zabrał głos ów właśnie pan, o którym wyżej wspominałem, jako o przykładzie swobody, wesołości i bujnej fantazyi:

— A ja wam powiadam, pandzieju, że gdybym ja był Anglikiem...

— Jest nim radca! — przerwał ktoś nagle — Przecież radca chorował za miodu na angielską chorobę...

— Daj mi pan święty spokój! Dyabli panu do tego! Otóż... powtarzam, gdybym był Anglikiem, to już wiedziałbym, jak tę łódź dostać w swoje ręce...

— No! no! W jakiz sposób? — odezwał się cały chór ciekawych.

— Kazałbym po prostu spuścić wodę z oceanu, aż do dna. I coż wtedy łódź podwodna warta?... Gdzie się podzieje?... Musi wpaść w moje ręce...

— Pomysł doprawdy genialny i dziwie się, że go admiralicya angielska w czyn nie wprowadziła. Czy radca nie zwracał się z tym projektem do Londynu?

— Nie!...

— W takim razie niech radca da spokój! — ja znów na to — Wiem o tem, że ta łódź ma tego rodzaju urządzenia, iż można ją w kilka sekund zamienić na aeroplan. Spuści pan wodę, ona dmuchnie tylko raz i drugi i jest już na tysiąc metrów w powietrzu!

— Tego nie przewidziałem! — rzekł z kwaśną miną — Ale wierzę panu, gdyż przekonałem się, że nigdy z prawdą się nie mijasz!

— Chyba przez pomyłkę... — dodałem skromnie, ale mi się go serdecznie żal zrobiło, widocznem było, że go to gryzie, iż jego genialny plan zeszedł na psy! Ale czegoż nie dokaże dzisiejsza technika...

Tak, dowodzi ona cudów, ale nie dokaże tego, bym znalazł tyle jeszcze miejsca, by zająć się polityką. Obecnie studuję ją w dwu kierunkach. Dowiaduję się, co słychać w Rumunii, czy pan Bratianu zdecydował się już, czy jeszcze nie, ale na co, to nie wiem, pozatem śledzę pilnie postępy Turków w Galicyi i chciałbym, by jak najprędzej napoili konie w Horyniu. Sami to Młodoturcy, wzór pracowitości i odwagi. Mają po kilka i kilkanaście żon i prawie po tyleż teściowych, a ducha nigdy nie tracą.

Wstępniymż więc w ich ślady, a będzie nam z tem dobrze!

Jak na to obie sprawy, rumuńska i turecka zasługują, poświęcę im też w swoim czasie odpowiednią wzmiankę, na razie z powodu owego, wyżej wspomnianego, a niczem usunąć się nie dającego braku miejsca, zaznaczam tylko, że o nich pamiętam i kiedyś do nich powrócę. Tymczasowo nie dojrzały jeszcze do gruntownego omówienia. Zwłaszcza zachowanie się Rumunii było, jest i długo jeszcze będzie zagadką, nad której rozwiązaniem pracują mózgi całej Europy.

Halodent

Krem do zębów

90 halerzy.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył S. Jeloneza, Wola Justowska

W miejscach kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanym znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy imię starorzemie.

□ — — — — —
 □ — — — — —
 □ — — — — —
 □ — — — — —
 □ — — — — —
 □ — — — — —
 □ — — — — —
 □ — — — — —
 □ — — — — —
 □ — — — — —

- Znaczenie wyrazów:** 1. Niemiecki muzyk. 2. Roślina lekar-
 3. Jedna ze stolic europejskich.
 4. Pantofle 5. Uczony angielski.
 6. Aliaż miedzi i cynku. 7.
 Mieszkaniec Stanów Zjednoczo-
 nych 8. Admirał angielski z cza-
 sów wojen napoleońskich 9. Rzeka
 na Syberii 10. Kolonia portu-
 galska w Afryce. 11. Miał

Szarada.

Ułożył S. K. Gerzaldi, Kraków.

Imię księdza, co miał wiersze,
 Miał, przed czwartem gdy jest wiersze,
 Pierwsza-druga metalowa
 Wtyszczy, póki ładna, nowa;
 Trzecia-pierwsza droga, mita;
 Pierwsza-pierwsza młoda, byta;
 Druga-druga bawi dzieci,
 A usypia trzeci-trzeci;
 Na południu szukaj miasta,
 Znajdziesz łatwo, ot i basta!

Zadanie do przedstawienia.

Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
 Noga Ł musi mdło iść

Grzeblówka.

Ułożył Ks. Kibicki, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanym znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy imię i nazwisko mieszczanina krakowskiego, znanego z oblężenia naszego miasta przez Rosjan w r. 1768

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
 — — — — — — — — — — — — — — — —
 — — — — — — — — — — — — — — — —
 — — — — — — — — — — — — — — — —
 — — — — — — — — — — — — — — — —

- Znaczenie wyrazów:** 1. Inaczej grubianin 2. Zatrudnienie.
 3. Ptak domowy 4. Jagoda 5. Roślina egzotyczna. 6. Zastona.
 7. Odlamek pływającej materii 8. Miejsce obronne

Zadanie do przedstawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
 Dog księdza nosi pręt Ewie.

Lamiółka literacka.

Ułożył Ks. Kibicki, Kraków.

Znaleźć tytuły dzieł niżej wymienionych autorów. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiego powieściopisarza.

- Potocki?
 Prus?
 Krasiński?
 Kaczkowski?
 Łoziński?
 Orzeszkowa?
 Świętochowski?
 Gąsiorowski?
 Kaczkowski?
 Zabłocki?
 Raymont?

Zadanie do przedstawienia.

Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
 I rzekł mi: z nędzy do pieniędzy. Jaje jest za promem w perystylu.

Trójkąt magiczny.

Ułożyła M. Schwandówna, Dwory.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiednimi literami, aby powstały wyrazy o podanym znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko znanego dowódcy Legionów polskich.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
 □ — — — — — — — — — — — — — — — —
 □ — — — — — — — — — — — — — — — —
 □ — — — — — — — — — — — — — — — —
 □ — — — — — — — — — — — — — — — —
 □ — — — — — — — — — — — — — — — —
 □ — — — — — — — — — — — — — — — —
 □ — — — — — — — — — — — — — — — —
 □ — — — — — — — — — — — — — — — —
 □ — — — — — — — — — — — — — — — —

- Znaczenie wyrazów:** 1. Szklany wyraz. 2. Inaczej postelnik 3. Filozof niemiecki 4. Utwór muzyczny. 5. Rzeka na wojennym terenie 6. Część morza 7. Imię żeńskie 8. Wyspa. 9. Dźwięk 10. Mineral 11. Spółgłoska.

Szarada.

Ułożył S. K. Gerzaldi, Kraków.

Pierwsze i trzecie to odłam ludności,
 W grzędach lub beczce poszukaj całości,
 Chyba, że beczka, jest drugie i trzecie..
 Jeśli ktoś drugie i pierwsze, to wiecie,
 Że trza gościowi drzwi grzecznie otworzyć,
 Proszą więc słowa szarady ułożyć.

Bilety wizytowe.

Ułożył J. Przetawski, Podgórze.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

LEON N. PTYSZKOWSKI

A ŁAPOWICZ

OM. PONCKI

TARAS NYNYZKI

TOMASZ CYD ŁAWO.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcja do rozlosowania: **Ilustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości” na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 33.

Lamiółka literacka: Bałucki Michał.

Logogryf:

S a l a n g a n a
 m o s k i t o s y
 p o r z a c z k a
 s a l a t e r k a
 D o n i z e t t i
 p a d y a z a c h
 n a d a c z n i k
 p u r c h a w k a
 W i n c e n t y n

Szarada: Porzeczka.

Logogryf:

K r a s a s a w a k i
 O ś m i o r n i c a
 R o z g w i a z d a
 Z a s k r o n i e c
 E r e c h t e j o n
 N a n e z y c i e i
 I n k w i z y t o r
 O l i g a r c h i a
 W i e ż y c z n i k
 S a l a m a n d r a
 K s i ę g o s n s z
 I m p r i m a t u r

Zadanie do przedstawienia: Kto się mieszka z plewami, tego świnie zjedzą

Logogryf:

M u c h a p l u j k a
 M a g d a l e n a
 g r a d u a t
 K i a w e
 e r g
 F e b
 k a w o n
 c z o a n e k
 t r u s k a w k a
 S i e n k i a w i o s

Zadanie do przedstawienia: Modli się pod figurą, a madyabła za skórą.

Bilety wizytowe: Zaprzysiężony tłumacz. Referent: Kapelmistrz. Pomocnik. Kwatermistrz

Dobre rozwiązania nadeszły Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Chazewski Kraków, S. Wyse-

kański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, M. Sokółowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim, S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stepien Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyń, M. Raszka Cieszyń, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S. Wilezyński Kraków, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opoński Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wyszczajski Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojaska Wiedeń, K. B. rowiecki Lwów M. Polska Wiedeń, M. Razyńska Lwów, W. Nowiński Tarnów, R. Wojcik Przemyśl, Z. Małeckci Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. S. Wilezyński, Kraków. Upraszamy o nadestanie 35 hal. na kosztta poleconej przesyłki

Głosy publiczne.

Polskie Archiwum Wojenne. Wojna światowa powołała do życia szereg nowych instytucji na różnych polach działania. Do instytucji kulturalno-naukowych, które byt swój zawierają wojnę, należy istniejące od półtora roku Polskie Archiwum Wojenne. Założone pod protektoratem uczonych, którzy uznali potrzebę i ważność gromadzenia pamiątek i dokumentów, wyświetlających rolę Polski w wojnie światowej, rozwija się Polskie Archiwum Wojenne stale pomysłnie. Założycielom przyszła myśl, aby zapobiedz nietylko zaginięciu, ale i rozprószeniu polskich pamiątek wojennych przez stworzenie wspólnego zbioru, któryby zogniskował najważniejsze materiały, mające przysłużyć się dziełopisowi posłużony do odtworzenia wszechstronnego obrazu obecnej, tak doniosłej w dziejach narodu naszego, chwili.

Dziś, po półtorarocznym istnieniu liczy Polskie Archiwum Wojenne kilkadziesiąt ekspozytur, z których część przypada na kraje zagraniczne, gdzie skrętnie zbiera się głosy prasy w sprawie polskiej i pamiątki z życia i działalności Polaków w dobie wojny.

W początkach b. r. akcja ta rozszerzyła się na resztę Królestwa Polskiego. Dzięki inicjatywie prof. J. Kallenbacha powstała w łonie warszawskiego Towarzystwa miłośników historii Komisja Polskiego Archiwum Wojennego z zakresem działania na teren okupacji niemieckiej Królestwa. W toku jest też organizacja komitetu litewskiego w Wilnie. Śląsk i Poznań mają od początku delegatury. Tak tedy Polskie Archi-

wum Wojenne jest dziś instytucją ogólnopolską, obejmującą całość ziem polskich

Niestety, tak pożyteczna i ważna dla przyszłości działalność jego natrafia na szereg trudności. Podczas gdy gdzie indziej rządy państwowe leżą na gromadzenie zbiorów wojennych wysokie sumy, u nas cała praca opiera się na dobrej woli i ofiarności nelicznych jednostek. Lecz datki prywatne i doradne zasiłki nie są zdolne pokryć znacznych wydatków, połączonych z akcją, zakreślona na tak szerokie rozmiary

Nie mniejszą przeszkodą w rozwoju instytucji jest objęt oś ogółu i nie wyrobiony u nas jeszcze zmysł zbierania. I dziś w rękach społeczeństwa spoczywa wiele materiału zupełnie bezużytecznego dla dobra publicznego. Skoro więc istnieje instytucja, której celem jest gromadzenie i przechowywanie dla potomności źródeł współczesnej chwili, obowiązkiem jest wszystkim tę instytucję, jako ważną placówkę narodową, wszechstronnie popierać i wzbogacać.

Polskie Archiwum Wojenne zbiera:

- 1) Czasopisma polskie i obce, te ostatnie, o ile zajmują się Polską i Polakami.
- 2) Książki, broszury, druki ulotne, odezwy, obwieszczenia, afisze, programy, zaproszenia, klepsydry i inne druki, związane z chwilą wojenną.
- 3) Pamiętniki, wspomnienia i zapiski, listy i karty polowe żołnierzy polskich i osób, które osobiście przeżywały wypadki wojenne. Na żądanie wysyła Zarząd P. A. W. instrukcję dla piszących wspomnienia i prowadzących dzienniczki. Dalej papiery urzędowe i rękopisy, tyczące się działalności polskich komitetów narodowych o charakterze politycznym i społecznym, organizacyji militarynych, uchodźstwa wojennego etc. Pieśni wojenne i napisy nagrobkowe.
- 4) Wszelkie ilustracje, jako to fotografie z miejsc dotkniętych wojną, zwłaszcza zniszczonych budynków i okolic, rysunki poważne i karykaturalne, widokówki, znaczki pocztowe, bony wojenne, odznaki, medale, pieczętki, mapy, rzeźby i obrazy, plakiety, utwory muzyczne etc.
- 5) Szczególnie gromadzi Polskie Archiwum Wojenne wszelkie pamiątki i dokumenty tyczące się Legionów polskich, fotografie Legionistów, ilustracje życia obozowego, pisma okopowe, pieśni wojenne (nieudrukowane), odprawy i rozkazy dzienne, mapy i plany sytuacyjne etc.

Datki i materiały przyjmują następujące składnice Polskiego Archiwum Wojennego:

- 1) Zarząd Polskiego Archiwum Wojennego we Lwowie (ul. Lelewela 5).
- 2) Składnica Polskiego Archiwum Wojennego w Krakowie (Akademia Umiejętności).
- 3) Komisja Polskiego Archiwum Wojennego w Warszawie (Tow. miłośników historii, Stary Rynek 41).
- 4) Komitet Polskiego Archiwum Wojennego w Wiedniu (Polnisches Kriegsarchiv, Wien I, Wallnerstr. 1 a).
- 5) Komitet Polskiego Archiwum Wojennego w Fryburgu (Suisse, Fribourg-Pérolles 70).

Jedyny w Krakowie, Zakład pogrzebowy „Concordia“ Jana Wolnego
 który posiada
 własny wyrób trumien — Kraków, Plac Szczyński L. 3 (dom własny) — Telefon Nr. 301.

C. SZCZURKOWSKI

Kraków, Grodzka 2

poleca:

Zabawki, Gry towarzyskie, Lalki itp.

Miód

zastępuje drogie masło. Banka pocztowa 5 kg. 10 K. Wysyłka za pobraniem Cenniki niemieckie lub czeskie wysyła Fr. Wenzel, Baumschütz Olomuniec 70.

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dniu powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

Wojenny zegarek i budzik K. 6.

Bransoletka z zegarkiem K 12.



Wojenny zegarek z podwojnym relikwem J. Ces. M. cesarza Franciszka Józefa I. i Wilhelma II. albo z poczyrównym relikwem „Viribus unitis 1914-1916“ w stalowej lub niklowej schowce z dobrym werkiem Anker K 6—, I. jakości kor. 8—. Mądłowy K 10—. Prawdziwy srebrny K 15. Budzik kieszonkowy K 20—. Radiowy K 28—, odpowiednia skórszana opaska na rękę K 2— osobno. Bransoletka z zegarkiem z skórszany rzeźmami duży format K 6—, radiowy K 10—, bransoletka z zegarkiem mały format według rysunku K 10—, 12—, radiowy K 15—, 18—, z precyzyjnym werkiem Anker K 21—, marki Cyma K 30—, Omega K 50—, radiowy K 10— węgla. Szkło ochronne według rysunku K 2— i więcej. Wojenny budzik niklowany 30 cm, wysoki K 6—, 3-letnia gwarancja. Wysyłka tylko za poprzednim nadaniem należności i 1— K na opakowanie, opłacone do całych Austro-Węgier i w pole przez I-szą skład zegarków wojennych.

Max Böhnel, Wiedeń, IV. Margaretenstrasse 27/62. Oryginalny cennik fabryczny darmo.

Zegarek z bransoletką



z intensywnie świecąca tarczą radiową, liczby i wskaźniki wydają w ciemności silne światło. Regulowany werk Anker, punktualnie idący. 3 letnia gwarancja. Wykonany z błękitnej stali z rzeźmami. Przecięcie 45 mm. Cena 9 koron 50 hal.

Uznany jako praktyczny dla wojskowych. Wysyłka za zaliczką, na poczet połową za poprzednim nadaniem pieniędzy przez skład zegarków

Jakob König, Wiedeń 3/89. Löwengasse 37 A

BAZAR KRAJOWY

KRAKÓW

ulica Szewska 22

LWÓW

ul. Akademicka 10

poleca najtaniej wyrobu krajowego:

Serdaki z rękawami i bez, damskie, męskie i dziecięce, bundy podróżne, peleryny, derki na łóżka i konie, sukno i t. p.

Wojenna, skórszana bransoletka z zegarkiem



niklowym lub stalowym Kor. 12—, 16—, 20—, z radium świecąca tarczą Kor. 16—, 20—, 24—, Srebrne Koron 18—, 24—, 28—, srebrne ze świecąca tarczą Kor 30—, 36—, 40— Bransoletka złota 14 to karatowego Kor 100—, 120—, 140—. Na każdy zegarek 3-letnia pieczęć gwarancyjną Wysyłka za zaliczką. Bez ryzyka! Zamiana dozwol. lub zwrot pieniędzy.

I-sza fabryka zegarków Hanns Konrad c. i k. radw. dost. w Brń Nr 1570 (Czechy) Główny katalog darmo i opłatnie

Potrzebna zaraz panna

do korespondencji polskiej i niemieckiej. — Wymagana również biegłość w pisanin na maszynie.

Wiadomość:

Administracja „Nowości Ilustrow.“

Rowery Ryval



przebieg najlepiej! K 145 kompletny z torpedem, lampą acetylinową, dzwonkiem, torbą z przyrządami, Pompą połamiana, płaszcz na wszystkie ceny. Pedaly za parę K 3—. Łańcuchy K 3-50. Latacja K 1-95. Rączki 30 hal. Ochroniacz od błota K 2-25. Lampy kieszonkowe i baterie, maszyny do szycia i m. do mówienia. Cenniki Nr 140 darmo i opłacony. Specjalne ceny dla kupców.

Specjalny Dom przemysłu rowerowego

G. Wondrak Wiedeń, III. Hauptstrasse 144.

Jedyny w Przemyślu
 który posiada
 własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia“

Przeprowadza ekshumacje i transport zwłok z każdej miejscowości. Wyjaśnięć udziela się chętnie.

JAN SMYK

Przemyśl, Rynek L. 16

Drukarnia D. E. Friedleina
 w Krakowie, ul. Kazimierza W. 95. Tel. 479

zaopatrzone jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonuje wszelkie roboty w zakresie drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, zaproszenia ślubne, tabele i t. p. szybko i starannie, po cenach umiarkowanych.

Założony w roku 1900!

Po drodze do Zakopanego

Założony w roku 1900!

lub wracając, najlepiej zaopatrzyć się można w wszelkie

ubioiry męskie

wykonywane na specjalne zamówienia podług miary

W ZWIĄZKU KATOL. KRAWCÓW

W KRAKOWIE, Floryńska 7. — WE LWOWIE, Plac Halicki 7.

Doborowe materiały na składzie w wielkim wyborze. Suknie dla Przewielebnego Duchowieństwa sporządzają fachowi specjaliści. (Na zapas do składu wyrabiane są ubrania gotowe o ile na to obecne stosunki wojenne zezwalają).

ADMINISTRACJA „Nowości Ilustrowanych“

odsprzedaje fotografie i klisze cynkowe

z każdego numeru po połowie ceny własnych kosztów.